ZNAK

MIESIĘCZNIK

JAN DOBRACZYŃSKI: POSTAĆ KSIĘDZA WE WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE KATOLICKIEJ □ TOMASZ MERTON: POSIEW KONTEMPLACJI. CZĘŚĆ V □ JERZY ZAWIEYSKI: LAMENT ORESTESA

35

KRAKÓW

LUTY 1953

REDAGUJE ZESPÓŁ

Członkowie zespołu: **Antoni Gołubiew, Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefania Skwarczyńska, Stanisław Stomma, Stefan Swieżawski, Jerzy Turowicz, Jerzy Zawieyski**

REDAKCJA: **Kraków, ul. Sobieskiego 3, III p., m. 8. Tel. 598-46**
ADMINISTRACJA: **Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 213-72**

GODZINY PRZYJĘĆ REDAKCJI:
codziennie od 10—12

ADMINISTRACJA: **codziennie od 9—13**

CENA ZESZYTU — 10 zł
W PRENUMERACIE — od nr 37 — 10 zł

Prenumeratę wpłacać należy na konto P.K.O. Nr. IV 1655/110 P. P. K. „RUCH" KRAKÓW — („ZNAK")

Maszynopis otrzym. 15.X.52 Pap. druk. sat. VII kl. 61×86 70 g. Druk. uk. 12.II.53
Format A5 Ark. druk. 4,5 Nakład 2.185 egz.

Krakowska Drukarnia Prasowa, Kraków, Wielopole 1. — Zam. 2162. — M-3-21788

ZNAK
MIESIĘCZNIK

ROK VIII — LUTY 1953 — NR 1 (35)

JAN DOBRACZYŃSKI

POSTAĆ KSIĘDZA WE WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE KATOLICKIEJ*)

I

Ksiądz wkroczył do katolickiej literatury współczesnej jako postać chyba najcharakterystyczniejsza. Rzecz ciekawa: jeszcze w okresie dwudziestolecia ksiądz występował w utworach literackich rzadko i prawie wyłącznie jako sylwetka drugoplanowa, wstydliwie zasunięta w głąb sceny. Poza tym była to zawsze sylwetka sprowadzona do kilku szablonowych typów: stary ksiądz, mądry, dobry staruszek, wyrozumiały i pobłażliwy; ksiądz młody, surowy, ascetyczny, nieprzystępny; ksiądz światowiec, biorący chętnie udział w zabawie, lubiący popić i kokietować kobiety.

Dziś te szablonowe typy zniknęły całkowicie. Katolicka literatura współczesna sięgając do postaci księdza nie szukała sobie typu czy symbolu. Szukała człowieka, żywego człowieka. Żywy człowiek — to zrozumiałe. Ale dlaczego właśnie ksiądz?

*) Referat wygłoszony na kursie dla duchowieństwa na KUL-u dnia 27 sierpnia 1952 r.

Skoro zaczynamy mówić o księdzu w literaturze katolickiej, staje zaraz przed nami twórczość Jerzego Bernanosa, która ma tylu naśladowców i następców; zwłaszcza jego, wydany w 1936 r. *„Journal d'un curé de campagne"*. Można by myśleć, że to Bernanos wprowadził księdza do literatury. Ale tak nie było na pewno. Wpływ pisarza, choć niewątpliwie ogromny, świadczy jedynie o zjawisku, którego on sam był wyrazicielem.

Zastanówmy się nad przyczynami, które mogły sprawić, że ksiądz stał się postacią tak bardzo charakterystyczną katolickiej literatury współczesnej. Zacznijmy od uświadomienia sobie, jak wygląda w ogóle bohater powieści współczesnej. Jeden z najznakomitszych krytyków francuskich, Denis de Rougemont, próbował przed pół rokiem zdefiniować ten typ, nazywając go „typem TEL" (od inicjałów Tomasza Edwarda Lawrence — nie Dawida Herberta Lawrence! — nieżyjącego pisarza angielskiego, autora *„The Seven Pillars of Wisdom"*, którego de Rougemont uważa, obok A. de Saint-Exupéry, za reprezentacyjnego autora powieści współczesnej).

Bohater powieści, powiada de Rougemont, jest dziś podróżnikiem, często podróżnikiem z musu, wygnańcem lub człowiekiem uprawiającym „ruchomy" zawód. Będąc niejako poza „osiadłym" światem, ludzie ci pragną do niego wrócić czym prędzej, lecz chcą powrócić z ambitnym zamiarem przekształcenia go. W ten sposób powstaje sprawa, której bohater służy.

Bohaterowie powieści współczesnej są indywidualistami pracującymi dla sprawy ogółu, lecz którzy, jak twierdzi de Rougemont, są „mniej zajęci ostatecznymi celami walki niż jej doświadczeniem".

Mamy więc do czynienia z „bohaterem zaangażowanym", z człowiekiem, który „służy". Że to służenie jest dla wielu z nich przede wszystkim p r z y g o d ą — co do tego można się zgodzić z de Rougemontem. Trochę tak, jak Byron, który walczył o wolność Grecji, nie zastanawiając się nawet nad tym, czy w tym samym czasie robotnik angielski nie cierpiał w niewoli nie mniej okrutnej jak turecka. Ale wspólne im jest szukanie sprawy wielkiej i wielkiego dramatycznego konfliktu.

Bohater służy sprawie drugich i dla nich gotów jest poświęcić życie. Nie znaczy to jednak, aby ta ofiara przychodziła mu łatwo. Do każdego z bohaterów powieści współczesnej stosować się może rada Rivière'a, „porte parole" autora z *„Vol de nuit"* Saint-Exupéry'ego: „Można kochać tych, którym się rozkazuje, ale nie trzeba im o tym mówić". Ofiara bohatera

powieści współczesnej katolickiej nie płynie ze spontanicznego odruchu miłości do drugich. To tylko potrzeba służenia narzuca potrzebę ofiary. Człowiek nie służy dlatego, że kocha, ale dochodzi do miłości — ponieważ musi służyć.

W ostatniej swej pracy napisanej tuż przed śmiercią, w artykule pt. *„Retour aux guerres de religion"*, powiedziała słynna Simona Weil (a trzeba powiedzieć, że mało kto z równą precyzją, jak ta niedoszła neofitka umiał uchwycić istotę przemian współczesnego świata), że są trzy metody ustosunkowania się dzisiejszego człowieka do moralności: 1) człowiek może zaprzeczyć przeciwstawności zła i dobra, 2) może stworzyć sobie bożyszcze (Rzymianie — państwo, Niemcy — rasę) i przyznać mu wszelkie dobro, odmawiając natomiast dobra innym, wreszcie 3) przewalczyć przeciwieństwo zła i dobra przez „zjednoczenie duszy z Dobrem Absolutnym", na drodze pokory. Można by powiedzieć, że bohaterowie powieści współczesnej katolickiej stoją na rozstaju drugiej i trzeciej drogi. Nie mogą się wyprzeć moralności, nie mogą żyć bez religii, bez ideału, bez sprawy. Ale mogą wybierać między Bogiem a bożyszczem. Wprawdzie bohaterowie w stylu bohaterów Lawrence'a czy de Saint-Exupéry'ego głoszą się przeciwnikami totalizmu. Lecz ich bożyszcze potrafi się ukryć w nich samych: w honorze, w geście, w haśle wolności, czy bodaj w tym, co Lawrence nazwał: *„decent nihilism"*, w imię którego pisarz chciał się stać „kółkiem w maszynie".

Albo też mogą iść na służbę Bożą. Bohater katolickiej powieści współczesnej ma do wyboru: swoją religię lub katolicyzm. Powieść współczesna z całą bezwzględnością zdeptała hasło „sztuka dla sztuki".

Bohater katolicki — zgoda. Ale dlaczego ksiądz?

Myślę, że w rozważaniach de Rougemonta brak jest jednej jeszcze uwagi, tej oto, że bohaterowie powieści współczesnej są w ogromnej mierze odbiciem swoich twórców. Nigdy może powieść nie była tak bardzo autobiografią autora, jak powieść dzisiejsza. To pisarz jest dzisiaj człowiekiem, który zmierza ku zbiorowości i poprzez swoją przygodę stara się wytłumaczyć sobie sens służenia. Mamy więc do czynienia z autobiografią „tłumaczącą". Bohater powieści współczesnej jest bohaterem „zaangażowanym", ale to zaangażowanie nie jest skutkiem przyjętego światopoglądu. Człowiek współczesny

czuje, że musi służyć, nie zawsze jednak wie, czemu służy i dlaczego. Światopogląd kształtuje się w działaniu, jeżeli nie samego człowieka, to przynajmniej jego *alter ego* — stworzonego przez niego bohatera. Człowiek, który wszystko musi dopiero sobie znaleźć, który idąc omackiem ku światłu, przeczuwa je, obdarza podświadomym szacunkiem tych, którzy Prawdę znają, którzy są do niej przewodnikami. Człowiek XIX w. był pewny swoich doświadczeń. Człowiek współczesny jest pełen wahań, niepewności a często pokory. Na tym się opiera wielka szansa księdza w życiu i w literaturze!

Jeżeli pisarz jest dziś człowiekiem szukającym, to jego bohater musi być na tej drodze szukania w jakiś sposób bliższy nieco odkrycia niż jego twórca. Po to, aby zbliżyć się do Prawdy, dobrze jest szukającemu wcielić się na chwilę w postać człowieka, który j u ż tę Prawdę znalazł. Dlatego też postać księdza jest postacią, w której, jak mi się zdaje, wyjątkowo dobrze jest ukryć się pisarzowi. Istnieją poza tym pewne podobieństwa zawodu księdza i pisarza. Obaj są do swej działalności p o w o ł a n i. Obaj są dla niej — oczywiście w niejednakowym sensie tego słowa — u ś w i ę c e n i. Obaj odchodzą od społeczności, by zaraz do niej powrócić w roli reformatora, nauczyciela, przewodnika czy dyktatora. Obaj muszą żyć swoim zawodem. Nie wystarczy ubrać się w sutannę, nie wystarczy władać piórem. Pisarz i ksiądz muszą się całkowicie wżyć w swoją sprawę, muszą być, pomimo wszelkich możliwych doświadczeń, jej wierni, a tym samym „wierni samym sobie". Od obu ich powołanie wymaga życia na pograniczu samotności i komunikatywności. Po to, aby móc dawać, i ksiądz i pisarz musi wyrosnąć w twardej szkole dyscypliny wewnętrznej. Obaj muszą znać wyrzeczenie — a jednocześnie muszą znać życie w jego najbardziej nawet tajnych zakamarkach. Oczywiście tutaj kończą się podobieństwa. Nad ukształtowaniem księdza pracuje Kościół, korzystając ze swych wielowiekowych doświadczeń. Pisarz kształtuje się sam. Ksiądz dotyka Boga, realnego nawet wówczas, gdy jest On dla niego niewyczuwalny. Pisarzowi dane jest czasami odczuć Boga, ale realizm tego odczucia jest czymś bardzo względnym. Księża tworzą regularną armię. Pisarz, nawet najbardziej pragnący służenia, jest tylko harcownikiem na przedpolu.

Pisarzowi nie jest łatwo zrozumieć stronę sakralną kapłańskiego powołania. Może tylko poeta potrafi się zdobyć na to w pełni.

Lecz pisarzowi-prozaikowi łatwiej jest zrozumieć człowieka, jakim ksiądz nie przestał być, niż jego urząd. Wtedy bowiem odnajduje w nim to wszystko, co jest w nim samym: to pragnienie przemienienia świata, nauczenia go o prawdzie, wydobycia z siebie sił nadludzkich, pokochania ludzi. Bohater powieści współczesnej jest tym, który walczy o miłość w sobie, o miłość zrodzoną z woli. Ksiądz w powieści współczesnej jest tym przede wszystkim, który kocha.

II

Ksiądz stał się postacią najbardziej charakterystyczną powieści współczesnej. Nie sposób jest nawet wymienić wszystkich pozycyj literackich okresu powojennego (bo o nim tylko chcę mówić). Zwrócę jedynie uwagę na niektóre.

Powieści zajmujące się postacią księdza można by sprowadzić do dwóch typów: są to albo utwory, zajmujące się życiem księdza w jego całkowitym przebiegu, opisujące jego codzienne nieomal kłopoty, troski i sukcesy, albo też książki, które stawiają, nieraz w sposób dramatyczny, któryś z problemów kapłańskiego powołania.

Do książek pierwszego typu należałoby przede wszystkim zaliczyć głośną przed dwoma laty powieść — best-seller amerykańskiego pisarza Henry Monton Robinsona *„The Cardinal"*. Wydana w USA w 1950 r. powieść w ciągu pół roku przekroczyła nakład 600 tys. egz. Jej treścią jest życie księdza Stephena Fermoyle, z pochodzenia Irlandczyka. Ks. Fermoyle poznajemy jako młodego księdza na pokładzie okrętu „Vesuvio", powracającego po odbytych w Rzymie studiach do rodzinnego Bostonu. Znalazłszy się w ojczyźnie, ksiądz zostaje wikariuszem na przedmieściu Bostonu w Malden. Pracuje tu pod twardą, despotyczną ręką proboszcza Williama Monaghan, o którym powiada autor, „że gdyby nie był został księdzem, w innych czasach i pod innym niebem, mógł był być setnikiem u Pompejusza, kapitanem żaglowca, dyrektorem stalowni Bessemera. Miał postawę miotacza kulą a struny głosowe niby św. Michał Archanioł ...„Znany ze swej zapobiegliwości i gospodarności ks. Monaghan nosił wśród konfratrów wiele mówiący przydomek: Dollar Bill. Proboszcz żąda od swego wikarego, by był, niby koń pociągowy, zwierzęciem solidnym, zdolnym ciągnąć wóz zarówno w górę jak i w dół, posłusznym na każde wezwanie i gotowym do pracy bez nawoływania..."

Ks. Monaghan nie lubił u swych wikariuszy wielkich zrywów, egzaltacji i nadmiernej, „rzymskiej" wiedzy. Chciał pracy i posłuszeństwa.

Choć nie łatwo godząc się z tego rodzaju stanowiskiem, ks. Fermoyle rozpoczyna swoją działalność wikariusza u św. Małgorzaty. Do jego obowiązków obok służby w kościele należy jeszcze działalność wśród młodzieży, która obyczajem amerykańskim tworzy obok parafii swoje katolickie kluby sportowe, odwiedzanie chorych, walka z pijaństwem oraz inne jeszcze typowe dla życia amerykańskiego zajęcie: pomoc w wynajdywaniu pracy dla bezrobotnych parafian.

W trzecim roku swej pracy u ks. Monaghan ks. Fermoyle przeżywa dramatyczną przygodę: jego nauczyciel w Rzymie, msgr. Quarenghi, napisał traktat z zakresu mistyki pt. „Drabina miłości". Porwany jego treścią ks. Fermoyle przetłumaczył książkę, po czym przesłał ją do Kurii dla otrzymania imprimatur. Ale arcybiskup, kardynał Glennon, nie był, podobnie jak „Dollar Bill", zwolennikiem mistycyzmu, zwłaszcza gdy się nim zajmował młody, zaczynający dopiero swą pracę kapłańską wikary. Zresztą kardynał przypuszczał, że ks. Fermoyle tłumacząc traktat robił to tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę w Rzymie. Zamiast więc imprimatur i pochwały popędliwy kardynał rzuca w twarz młodemu księdzu:

„Księże Fermoyle, • jesteś pochlebcą i lizusem, a twoja „Drabina Miłości" miała być tylko trampoliną dla twoich ambicyj".

Ks. Fermoyle zostaje przeniesiony z miejskiej parafii św. Małgorzaty na głuchą wieś. Proboszczem tutaj jest świątobliwy, lecz nieżyciowy, przygnębiony potrzebami rozpadającego się kościoła i nędzą swych parafian, ks. Ned Halley. Poza tym proboszcz jest ciężko chory. Na ks. Fermoyle spada cały trud proboszczowania w ubogiej parafii. Ale nie daje się niczym zniechęcić. Wreszcie dochodzi nawet do pewnych rezultatów. Dzięki zorganizowaniu spółdzielni leśnej udaje mu się przezwyciężyć nędzę swoich parafian. Tymczasem ks. Halley umiera. Do umierającego przybywa jego przyjaciel, kard. Glennon. Przy sposobności spostrzega osiągnięcia młodego księdza. Kardynał jest człowiekiem gwałtownym, ale sprawiedliwym. Umie spostrzec, że ksiądz, którego posądzał o wybujałą ambicję, jest dobrym księdzem. Po śmierci ks. Halleya Fermoyle powraca do Bostonu, by objąć stanowisko sekretarza

kardynała. Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie ukazaniu się po angielsku „Drabiny Miłości". Wraz z kardynałem Fermoyle jedzie do Rzymu na conclave. Po wyborze Piusa XI, kardynał wraca do USA, ale pozostawia w Rzymie swego już teraz ukochanego syna, ks. Fermoyle, na stanowisku sekretarza Kongregacji Spraw Kościoła.

Znowu obserwujemy naszego bohatera w wirze spraw Kurii Rzymskiej, a także w chwilach wypoczynku, gdy pewnego dnia młody ksiądz o mało nie pada ofiarą zdradliwych uczuć dla hrabianki Ghislany Falerni. Odkrywszy drzemiącą w sobie słabość Fermoyle poddaje się surowej pokucie i podejmuje twardą pracę nad samym sobą. Po paru latach prałat Fermoyle wraca do USA i zostaje biskupem Hartfield. Widzimy go jak pracuje nad rozwojem prasy katolickiej i prowadzi kampanie prasowe, jak z wielkim taktem utrzymuje stosunki z przedstawicielami innych wyznań i łącząc się z nimi dla spraw ogólnonarodowych, potrafi być przecież zawsze reprezentantem Kościoła Apostolskiego, jak wreszcie walczy z plagą fałszywych cudów, które, jak się zdaje, są bolączką katolicyzmu amerykańskiego. Po śmierci arc. Glennona bp. Fermoyle zostaje arcybiskupem Bostonu i kardynałem. Powieść kończy się znowu na okręcie, na którym kardynał powraca do ojczyzny po dokonanym wyborze Piusa XII — i rozmyśla nad wojną, która zdaje się już wisieć w powietrzu...

Streściłem powieść Robinsona dość dokładnie raz dlatego, że nie była ona u nas omawiana w prasie katolickiej, dwa — ponieważ jest bardzo typowa dla pierwszego rodzaju powieści o życiu księdza. Ciekawa, choć literacko raczej drugorzędna, przypomina znane u nas — literacko nieporównanie wyższe — powieści Cronina *„The Keys of the Kingdom"* oraz B. Marshalla *„All glorious within"* („Chwała córy królewskiej"). Najlepszą z tej serii powieści jest inna, nietłumaczona na język polski, powieść Marshalla *„Every man a penny"*. Bohaterem jej jest ksiądz francuski, abbé Gaston, którego życie, podobnie jak życie ks. Smith w *„All glorious within"* oglądamy na tle biegnących lat i dokonujących się wraz z tymi latami przemian. W odróżnieniu od ks. Fermoyle, który wciąż rośnie w godności, bohaterowie powieści Marshalla i Cronina pozostają do końca małymi księżmi. Są to typy franciszkańskie, ukryci święci.

Popularność, jaką zyskały sobie wymienione książki („*All glorius within*“ osiągnęło w Anglii i USA półtora miliona egzemplarzy), stwarza niebezpieczeństwo, że znajdą zbyt licznych naśladowców. Powodzenie powieści o księżach być może sprawiło, że we Francji ukazała się niedawno powieść pastora Henri Hatzfelda pt. „*La flamme et le vent*“ przedstawiająca życie pastora protestanckiej parafii, który zresztą, jak mówi autor: „zwątpił we wszelką strukturę społeczną czy kościelną, w sens administracji sakramentów, nawet w myśl teologiczną, szukając tylko żywego Chrystusa“.

Ale powieść Hatzfelda zbliża nas już do drugiego typu „księżej powieści“: do utworu, którego treść obejmuje jakiś problem życia kapłańskiego, zaś autor nie ogranicza się do prostej narracji o życiu swego bohatera. Z wielu pozycyj, z jakimi się tutaj spotykamy, zwrócę uwagę na trzy najtypowsze. Będą to „*The Power and the Glory*“ Grahama Greene'a, „*Il cielo e la terra*“ Carlo Cocciolego, oraz „*Prince of Darkness*“ J. F. Powersa.

Powieść Greene'a jest chyba najlepszą książką tego autora i chyba najbardziej głośną książką z tych, jakie się ukazały po wojnie. Była przed paru laty sfilmowana.

Jej bohaterem jest ksiądz meksykański, którego imienia autor nie wymienia ani razu. Akcja powieści toczy się w Meksyku, w stanie Tabasco.

Sytuacja w chwili rozpoczęcia powieści przedstawia się w ten sposób, że wszyscy księża na terenie stanu albo uciekli przed prześladowaniami albo sekularyzowali się. Pozostał tylko jeden — bohater powieści. Ukrywa się, wciąż przenosząc się z miejsca na miejsce, lecz nie przestaje działać jako ksiądz: odprawia msze św., spowiada, przygotowuje na śmierć. Warunki ograniczają jego działalność: coraz rzadziej może odprawić mszę, coraz mniej ludzi może wyspowiadać. Przychodzi chwila, w której właściwie nie wiadomo już, czy istnieje jeszcze jakiś sens tego beznadziejnego trwania. Prześladowcy depcą mu po piętach, ludność się go boi jak zarazy, bo wieś, w której ksiądz zostanie znaleziony, skazana jest na zagładę. Lecz mimo tak ciężkiej sytuacji ksiądz nie chce ustąpić. Doszła do głosu ambicja i duma. Ksiądz czuje się bohaterem, który, choć ścigany, nie chce ustąpić. Poczucie bohaterstwa łączy się często z poczuciem swobody. Ksiądz pozwala sobie na to i tamto.

Pije... Woń alkoholu bije mu z ust, gdy spowiada ludzi. Słowa plączą mu się podczas wymawiania liturgicznych formuł. Koniak pchnął go także w objęcia innego grzechu: ksiądz ma córkę... Nie mając się komu wyspowiadać, wlecze za sobą w swej ucieczce brzemię swoich grzechów i słabości.

Aż wreszcie pewnego dnia dokonuje odkrycia, że to wszystko, co zrobił, jest niczym wobec szkód moralnych, jakie wyrządził sobie i innym. Odkrycie to kończy się decyzją: poprzez góry ksiądz ucieka ze stanu Tabasco do innego stanu, w którym prześladowania mają charakter wyłącznie administracyjny. Śmiertelnie znużony dociera do wsi, w której środku stoi kościół. Parafia jest opuszczona, to też ludzie poznawszy w nim księdza, garną się do niego.

„Szedł wolno, w poczuciu pokoju i bezpieczeństwa. Pierwszy napotkany wieśniak zdjął na jego widok kapelusz, ukląkł i pocałował go w rękę.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Pedro, ojcze!

— Dobry wieczór, Pedro.

— Czy będzie jutro msza, ojcze?

— Tak...

Teraz kobieta pocałowała dłoń księdza: wydawało mu się to rzeczą zdumiewającą, że ludzie tutaj tak jakby pragnęli jego obecności i nie uciekali od niego jak od nosiciela choroby.

— Czy zgodzisz się mnie wyspowiadać, ojcze?

— Tak, naturalnie. W stodole u sennor Lehra. Przed mszą. Będę o piątej. Zaraz o świcie.

— Ale nas jest wielu, ojcze.

— Dobrze, w takim razie wieczorem, o ósmej...

— Są także, ojcze, dzieci do chrztu. Nie ma u nas księdza już od trzech lat.

— Będę tu jeszcze przez dwa dni.

— A ile każesz zapłacić, ojcze?

— Zwyczajnie: dwa pesos.

Myślał: muszę wynająć dwa muły i przewodnika. Potrzeba mi będzie 50 pesos, by zajechać do Las Casas. Pięć za mszę... pozostało by 45 pesos.

— Jesteśmy bardzo biedni — targowała się łagodnie — ja sama mam czworo dzieci. Osiem pesos to dużo.

— Czworo dzieci to dużo — odrzucił — zwłaszcza gdy księdza nie ma we wsi od trzech lat.

Czuł, jak mu znowu w słowach dźwięczy ten akcent władczy, ta dawna intonacja, z jaką zwykł się był niegdyś zwracać do swoich parafian... Jakby lata ostatnie były tylko snem, jakby nigdy nie był odszedł od bractw, Dzieci Maryji, i mszy codziennych. Dodał tonem suchym:

— Ile jest dzieci we wsi, które nie były chrzczone?

— Może ze sto, ojcze....

Szybko obliczył: nie ma sensu przyjeżdżać do Las Casas, jak żebrak; należy kupić sobie ubranie, wynająć mieszkanie, zainstalować się...
— Musicie dać po półtora za dziecko.
— Może jednego peso, ojcze. Jesteśmy biedni....
— Półtora!"

W sposób mistrzowski Greene pokazuje nam jak do księdza powracają wszystkie jego dawne słabości, tragiczne słabości, które zrodziły bunt przeciwko religii. Sam ksiądz jest tym zaskoczony. Jak wyzwolenie, pojawia się przed nim człowiek, który go wzywa do kogoś, kto umiera w pogranicznych górach. Ksiądz czuje od razu, że to jest pułapka, że człowiek, który zna cenę nałożoną na jego głowę w stanie Tabasco, chce go podstępem wydać w ręce władzy. Ale równocześnie wydaje mu się, że powrót do niebezpieczeństwa, od którego dopiero co uciekł, i nawet do tamtych słabości — jest czymś lepszym niż powrót do dawnego życia. Tam przynajmniej służył. Być może, człowiek umierający naprawdę czeka na jego przyjście... Ksiądz decyduje się iść za tym, który go wzywa. Odchodząc oddaje otrzymane pieniądze najbiedniejszym we wsi.
Księdza posłaniec zdradził rzeczywiście. Nachodzi go żal:

„Wydało mu się w tej chwili, że tak łatwo mógł być świętym. Gdyby tylko panował nad sobą, gdyby zdobył się na odrobinę odwagi. Miał poczucie człowieka, któremu szczęście uciekło sprzed nosa, a on przybył o parę minut za późno na miejsce spotkania. Wiedział teraz, że w ostatecznym rachunku jedno się tylko liczy: świętość..."

*

Powieść Cocciolego, młodego pisarza włoskiego, streszczę krótko, bo omawiałem ją dokładniej w „Tygodniku Powszechnym". Ksiądz Ardito Piccardi zasugerowany wizją szatana postanawia poświęcić życie walce z nim. Początkowo pracuje jako proboszcz w małej, górskiej wiosce Chiarotorre. Ale wysokie, bezlitosne wymagania, jakie stawia swoim parafianom, doprowadzają do szeregu katastrof. Ktoś popełnił samobójstwo. Don Ardito uświadamia sobie, że przegrał walkę, przegrał ją na skutek nieznajomości ludzi. Musi wpierw poznać świat. Przerzuca się do miasta, przechodzi do pracy intelektualnej wśród młodzieży. Ale i tu ponosi klęski. Wreszcie śmierć starego przyjaciela odkrywa mu, że i tym razem błądził. Potrzebne są rozwiązania proste, rozwiązania na drodze

wyznaczonej. Don Ardito powraca do Chiarotorre i tu ginie z rąk Niemców — rzecz się dzieje w okresie ostatniej wojny — poświęcając życie za gromadkę zakładników.

Powieść Cocciolego, napisana z talentem i z siłą, wprowadza nas w tę samą naładowaną tragicznością atmosferę, jaką znamy z utworów Bernanosa. Coccioli nie dorównuje jednak głębią spojrzenia autorowi „*Journal d'un curé de campagne*", nie potrafi również uczynić świętości swego bohatera dostatecznie przekonywującą. Don Ardito miota się w wewnętrznym niepokoju i nie przestaje się miotać do ostatniej chwili.

*

Nowele J. F. Powersa, młodego profesora kolegium przy opactwie benedyktyńskim w Minnesota, wydane pod ogólnym tytułem „*Prince of Darkness*" ukazały się w 1947 r. i wywołały wśród czytelników amerykańskich prawdziwą burzę. Jednych zachwyciły — innych oburzyły do żywego. To był prawdziwy kij wetknięty w mrowisko.

Z nowel tych omówię trzy. Pierwsza z nich pt. „Łyżeczki" pokazuje nam dwóch księży: proboszcza-prałata oraz jego wikariusza ks. Eudexa. Prałatowi nie wiele brakowało, aby był został biskupem.

Ks. Eudex mógł sobie łatwo wyobrazić jakiego rodzaju biskupem byłby monsignor. Jego rządy byłyby rządami rozsądku, najgłębszego rozsądku. Jego poglądy byłyby przestarzałe, pod każdym względem przestarzałe. Umiałby unikać zasadzek zastawionych na drodze człowieka sprawiedliwego: omijałby je taktownie i świadomie. Nie dałby się nigdy nabrać na to, na co nabrało się tylu dobrych pasterzy: na złudne dylematy sprawiedliwości, których lepiej nie ruszać, jak niedojrzałego jabłka... Wiedziałby co robić, co mówić, czego unikać, co przemilczać — nie uznawałby prostego „tak" i „nie"... Z góry już znałby wszystkie maski zła: maltuzjanizm, gorszące filmy, pornograficzne książki..."

Piękne auto proboszcza mknie szybko, stwarzając przekonanie, że ksiądz spieszy z a w s z e z Wiatykiem do umierającego. Z auta zasyła ukłony swoim parafianom. Być na najwyższym poziomie stylu życia i godności, reprezentować godnie honor Kościoła — oto postawa prałata.

Ks. Eudex jest inny. Siedząc przy stole obok swego zwierzchnika, który wciąż gani lub chwali podawane potrawy, bije się z myślami:

„Co to znaczy być księdzem? Chodźcie do Mnie. Idźcie za Mną. Nauczajcie narody. Leczcie chorych. Wskrzeszajcie zmarłych. Oczyszczajcie trędowatych. Wypędzajcie szatanów. Lecz jak nauczać ludzi, z którymi jest się w bliskich stosunkach? Kogo? Mr. Memmersa? Komunistów? Monsignorów? A gdzie są ubodzy? Gdzie trędowaci? W leprozoriach pod opieką zakonnic. Ubodzy kryją się w swych barłogach. Mr. Memmers w swym banku. Komuniści w uniwersytetach. A on sam siedzi przy stole obok proboszcza..."

Ks. Eudex czuje się bliski ludziom pracy. Razi go jeżdżenie wspaniałą limuzyną prałata. Wolałby mieć starego Forda — lecz takie auto byłoby niegodne jego stanowiska, tak przynajmniej twierdzi proboszcz. Gdy ogrodnik pracuje ciężko w ogrodzie przykościelnym, ks. Eudex rozbiera się i pomaga mu w pracy — za co go spotyka nagana. Gdy pikiety strejkujących robotników marzły na mrozie — oddał tym ludziom swoje śniegowce. Nie umie się posługiwać srebrnymi reprezentacyjnymi łyżeczkami proboszcza. Obaj księża otrzymali czeki-ofiary od dyrekcji miejscowej fabryki. Ale ks. Eudex czuje, że jego życie nie powinno być po stronie pięknych aut, srebrnych łyżeczek i czeków od dyrektorów fabryk. Jeżeli ksiądz ma skrupuły, mówi mu z uśmiechem proboszcz, niech ksiądz pieniądze odda ubogim. Tak, to jest słuszna rada, myśli ks. Eudex. Lecz mimo to — podrze czek...

Inna nowelka: pt. „Silna kobieta". Nowa sceneria, lecz problem w gruncie rzeczy ten sam. Proboszcz ks. Frank Nulty, obok niego gospodyni mrs. Stoner. Żaden ukryty grzech nie wiąże tych dwojga niemłodych ludzi, mrs. Stoner jest w gruncie rzeczy bardzo cnotliwą osobą.

„Jeżeli nawet gotuje źle, nie umie grać na organach, nie chce kwestować, biega wciąż na bridge'a, gada o wszystkim — to przecież jest czysta... Wtrąca się do nieswoich rzeczy, ale robi to zawsze z jakiegoś powodu... Podwyższyła samowolnie ceny na szkaplerze i książeczki do nabożeństwa, lecz pieniądze idą na ubogich. Cenzuruje broszurki na półkach w przedsionku kościoła — lecz tylko dla uniknięcia skandalu. Grzebie się w rejestrach chrztów i ślubów... i dzięki temu odkryła pewnego dnia bękarta, którego wypędziła z prezbiterium — lecz to ze względu na obrzydzenie, jakie czuje dla dzisiejszych grzesznych czasów. Krytykuje złe małżeństwa w obecności zainteresowanych, ale to jedynie ze względu na ból, jaki jej swym postępowaniem sprawiają. Księdzu chowa książki, zabrania palenia, wybiera mu przyjaciół..."

Ks. Nulty znosi to od lat. Trudno jest przecież znaleźć gospodynię...

Nie widzi, nie chce widzieć, jak kobieta ośmiesza go. Traktuje go niby żona-despotka męża-pantoflarza, a jednocześnie daje do zrozumienia wszystkim, że poświęca się dla księdza. Swoją gadaniną sprawia, że ludzie zaczynają się domyślać tego, czego nie ma... Ks. Nulty stara się tych szmerów nie słyszeć. Wszystko lepiej niż stracić gospodynię, a z nią — wygodne życie!

Wygodne życie! Wygoda, rutyna, rezygnacja z jakichkolwiek wewnętrznych buntów czy porywów — oto wedle Powersa najstraszniejszy wróg życia kapłańskiego. Zaczyna się niewinnie: cały świat szuka wygody i przyjemności. A ksiądz musi zachować kontakt z całym światem. Tak myśli ks. Burner, bohater nowelki pt. „Książę ciemności". Któż to jest ks. Burner? Zwyczajny sobie wikary, trochę już za stary na wikarego. Lubi swoje ładne auto, gra doskonale w golfa, uczy się pilotażu, jest trochę łakomy... Ale praca zależna zaczęła go już męczyć. Proboszcz drwiąc z niego, że urządził w swym pokoju ciemnię fotograficzną, nazwał go „księciem ciemności". Złośliwi jezuici, których zaczepił w jakiejś polemice prasowej, dali mu przezwisko „księdza obiegowego" (kilka razy zmieniał parafię). Ma już dość tych drwin. Wprawdzie rzeczywiście czuje, że nie jest jak inni księża — noszący jakieś piętno swego powołania.

„U niego jest ono czymś innym: niby maską czy szyldem, który można zdjąć i który się zdejmuje... coś niby szyld doktora czy adwokata. Oni byliby zgubieni w wypadku prześladowań. To piętno zgubiłoby ich. Lecz on, gdyby taki dies irae nadszedł... ocalałby i mógłby pracować użytecznie jako listonosz, szofer autobusu czy ojciec rodziny..."

Ks. Burner mimo tej świadomości chce być wreszcie proboszczem. Z tym pragnieniem staje przed swym arcybiskupem. Stary dostojnik mierzy dobrym wzrokiem podnieconego księdza. Stawia mu różne pytania. Potem mówi:

„Dzisiaj mamy niewielu świętych, a jeszcze mniej grzeszników. Świat już się uważa za zbawiony. Wszyscy jesteśmy bohaterami w poszukiwaniu skrzywdzonego. Jeżeli chodzi o zdrajców, to ten gatunek klasyczny bez złudzeń wobec samych siebie, jest to rasa... wymarła. A diabeł, sam diabeł, gdzie on dziś jest?... Patrzymy w prawo i w lewo. A ja myślę, że potrzeba nam patrzeć wprost w siebie, na szatana, który jest w nas samych... Uczestniczę czasami w bankietach... na których nie ma nigdy ubogich, natomiast spotykam na nich często ludzi ogromnie bogatych, którzy uważają za potrzebne powiedzieć mi, że religia

jest dla nich „wielką pociechą". Raczej opium — myślę wtedy, używając powiedzenia jednego z konkurentów, co ze względu na moje stanowisko jest może nieroztropnością... To prawda, bogaci mają też dusze... Lecz gdyby Chrystus był w nich naprawdę, nie byliby tym, czym są — bogatymi... W ten sposób nie będziemy nigdy sobą... Nie przynosimy ani pokoju ani miecza. Bogaci dają nam pieniądze, my im dajemy pociechę i robimy z igielnego ucha — bramę..."

Nie przestając mówić arcybiskup daje ks. Burnerowi pisemienną odpowiedź na jego prośbę. Nie wiedząc jeszcze co w niej się znajduje, ks. Burner schyla się do ręki ordynariusza. Jest pełen czci. O arcybiskupie mówi się, że „sypia na polowym łóżku, staje wraz z ludźmi w kolejce do spowiedzi i pości co drugi dzień". Teraz przyjął Burnera w podartych pantoflach. Odprowadza księdza aż do drzwi. „Proszę, mówi, niech ksiądz nie otwiera koperty aż dopiero jutro po odprawieniu mszy św.".

Ale Burner rozrywa ją zaraz za drzwiami. Jest to skierowanie na nowy wikariat na innej parafii. „Mam nadzieję — czyta Burner — że w swej nowej pracy nie znajdzie ksiądz pokoju, ale miecz..."

III

Omówię z kolei wydaną przed półtora rokiem powieść Daniela Pézeril pt. *„Rue Notre Dame"*, interesującą z wielu względów.

Jej autor jest księdzem. Urodzony w 1911 r., odbył studia na Sorbonie. W czasie wojny uczestnik francuskiego Ruchu Oporu, poszukiwany przez Gestapo. Potem kapelan I Armii francuskiej. Obecnie superior zgromadzenia przy kościele Saint-Séverin, która to parafia od 1947 pełni, z polecenia kard. Suhard, funkcję kościoła akademickiego w paryskiej Quartier Latin. Ks. Pézeril jest twórcą nowych metod pracy wśród młodzieży: wprowadza w swojej parafii pewne inowacje liturgiczne oraz kieruje prowadzoną przez młodzież akcją charytatywną. To on był spowiednikiem Bernanosa i dysponował go na śmierć.

Powieść ks. Pézeril poruszyła całą katolicką prasę francuską. Krytyka jednogłośnie oceniła ją bardzo wysoko, porównując ją do *„Journal d'un curé de campagne"*, lecz także wykazując duże różnice. Szkoda, że powieść nie została dotychczas przetłumaczona na język polski.

Napisana jest w formie pamiętnika starego ks. Serrurier, poprzednio wieloletniego proboszcza jednej z wielkich parafii paryskich, który obecnie dożywa swych lat na honorowym stanowisku kanonika katedry Notre Dame. Z perspektywy kończącego się życia stary kanonik przypomina sobie ubiegłe lata. Lada dzień przyjdzie mu z nich zdać rachunek. Jak on wypadnie? Był przez trzydzieści lat pełnym energii proboszczem. A przecież czuje, że między latami pracy na parafii, a entuzjazmem, jaki żywił w okresie pobytu w seminarium, leży przepaść. Byłem dobrym rządcą parafii, myśli nieraz ks. Serrurier. Ale czy byłem dobrym duszpasterzem? Czy tylko kierowałem mymi wikariuszami, czy też ich wychowywałem? Czy żyłem życiem nadprzyrodzonym?

Pewnego dnia ks. Serrurier poznaje młodego księdza, Roberta Martin, misjonarza przedmieść paryskich. Prosi on starego kanonika o duchowe kierownictwo. Ks. Serrurier zgadza się — lecz zaraz odkrywa, że zadanie, którego się podjął, przekracza jego umiejętności. Wstrząsające odkrycie! Co to jest?— myśli ks. Serrurier. — Dlaczego ja nie umiem nic powiedzieć temu młodemu księdzu? Dlaczego nie rozumiem jego buntów, jego słów, jego postępowania? Może tak samo nie rozumiałem moich wikariuszy. Ale z nimi nie rozmawiałem. Wydawałem im polecenia — to wszystko. Dlaczego tak się dzieje, rozważa stary kanonik, że my, księża-praktycy nie umiemy przelać naszej wiedzy w młodych i muszą nas w tym wyręczać kierownicy seminariów, którzy znowu, najczęściej, nie byli nigdy proboszczami?

Jeszcze raz stary ksiądz wraca do rachunku sumienia ze swej przeszłości.

„Cóż zrobiłem jako ksiądz?... Czym zapełniałem mój czas? Zacznijmy metodycznie. Gdy byłem w seminarium, nasz profesor filozofii... miał ukrytego bziczka do Kartezjusza. To się zdarza, to się zdarzało w ciągu całego XIX w. ...Zbieraliśmy się w jego pokoju... A potem jako proboszcz? Administrowałem parafią. Nie zaciągałem długów (nie mówię o latach ostatnich). Budowałem. Wszystko u mnie szło jak w zegarku. Każdy pogrzeb był należycie odprawiony. Co rano pobożnie odprawiałem mszę, a była to msza, na którą najgodniejsza część mojej parafii uczęszczała najliczniej. Mam na myśli ludzi czcigodnych tych, którzy się liczą... Odmawiałem brewiarz...“

Jakżeż inaczej wygląda życie i praca ks. Roberta. Pewnego wieczoru stary kanonik odwiedza go:

„Za całą wskazówkę miałem tylko numer domu. Nie było tam kościoła ani plebanii. Stałem przed szarą bramą, której środkiem płynęła struga brudnej wody. To był Paryż, a mnie się wydawało, że jestem na wsi. Ks Robert wiedząc, jak łatwo się płoszę, powiedział mi: „Nie będzie tam dzwonka, proszę po prostu wejść". Nacisnąłem więc klamkę, która wydawała się raczej zamknięciem piwnicy niż mieszkania. Przede mną było podwórze, wybrukowane kocimi łbami, podwórze jakie się widuje w Pouilles-les-Oies, zastawione kubłami na śmiecie, narzędziami, odpadkami życia domu. Jakaś kobieta zawołała: „To tutaj, proszę ojca, to tutaj!" Znalazłem się w kuchni. Roberta nie było, jeszcze nie wrócił z pracy. Musiałem na niego czekać. Kobieta wskazała mi miejsce na ławce obok jakichś ludzi. Nie przestając mówić gotowała coś na kuchni. Ludzie, którzy siedzieli obok mnie, wydawało mi się, znali się wzajem. Potem przekonałem się, że to było złudzenie. Jedzenie, które gotowała kobieta, przeznaczone było dla nas wszystkich... Ławka wydawała mi się okropnie twarda... Postukiwałem laską po podłodze, gdy wszedł Robert. Byłem do niego odwrócony plecami i nie byłbym go spostrzegł, gdyby mi kobieta nie powiedziała: „Oto ojciec, na którego czekamy". Ubrany był w granatowy kombinezon, zaś jego dłonie i paznokcie nosiły ślady zetknięcia ze smarem. Wydało mi się, że odzyskały w ten sposób swój właściwy wygląd. Były teraz rękami jego ojca i dziada, ludzi zdrowych. To dobrze przygotowuje księdza. Przeszliśmy do izby obok, ja pierwszy. Byłem wzruszony. Pochłaniałem wzrokiem Roberta, szeptałem cicho: „Mój chłopcze, mój chłopcze..." Znajdowaliśmy się na parterze dwu czy trzypiętrowej kamienicy... Obecnych było około trzydziestu osób. Biurko Roberta razem z jego ordo, brewiarzami, stosem Ewangelii i papierów, odstawione było na bok... Na świeżo tynkowanych ścianach wystąpiły już tu i tam żółte plamy wilgoci. Stół, który miał służyć księdzu, został opięty płótnem, grubym ale czystym. Stanęliśmy półkolem, dzieci na przodzie. Stałem obok nich. Na mnie kończył się pierwszy szereg. Opierałem się o mur.

Kiedy Robert ubrany w szaty liturgiczne i zwrócony do nas twarzą, rozpoczął modlitwy, miałem wrażenie, że patrzę na gotycki obraz. To była niby ilustracja z mszału... Poczynając od Ewangelii poczuliśmy łączącą nas wspólnotę. Słowa Chrystusa zagrzmiały niby piorun. Jakiś mężczyzna, może pięćdziesięcioletni czytał tekst. Potykał się trochę na wyrazach technicznych, takich jak faryzeusze, saduceusze, Genezareth. Ale słowa Mistrza przeczytał tak, że stanęły przed nami w całej swej jasności. Potem Robert powiedział kazanie. Mówił o potędze Imienia Jezus. Był jak egzorcysta. Mówił, że mamy tylko to Imię, że każdy z nas ma tylko Je, a przecież to wystarczy, by przemienić świat. Stał przed tymi ludźmi z tym tylko jedynym Dobrem. Przypomniał epizod Piotra i Jana, gdy mówili do żebraka-paralityka: „Nie mam złota i srebra, ale co mam, to ci daję: w Imię Jezusa Chrystusa Nazareńskiego wstań a chodź!" Piotr, Jan, czuliśmy to wszyscy, to był on. Ta sama wielkość. Żadnych godności ziemskich, bo, mój Boże, czyż można znaleźć jeszcze nędzniejsze otoczenie? Ale za to ta sama solenność kapłańska, ten cud Apostołów, ta niezwyciężona wiara pierwszego Kościoła! Widziałem jak ci ludzie składają swój los w ręce Kościoła. To była niby wizja. Kąpaliśmy się w odrodzonej ufności, jaką tylko ubodzy mogą mieć. Och, Święty Kościele, Matko nasza, wo-

łałem w duchu, stary ślepiec teraz dopiero otwieram oczy! I to ja ciebie wołam. Otwórz ramiona tym małym, bo oni posiadają bogactwo, jakiego nikt inny nie ma: mają wiarę, choć jej nikt nie dostrzegł....
A co mówić o chwili Łamania Chleba? Jak to opisać?... Prawie wszyscy obecni wyciągnęli usta do tego dania eucharystycznego. Byłem niemal jedyny, choć ksiądz, który nie przystąpił do Komunii św., ale miałem mieć następnego ranka mszę w katedrze. Pozostałem z nieochrzczonymi. Bolało mnie to trochę..."

W parę dni po tej wieczornej mszy, pisze ks. Serrurier:

„Za moich czasów wypadało, aby ksiądz należał do pewnego środowiska. A on przecież musi należeć do wszystkich, to zaś wymaga tak wiele. Musimy stać się wewnętrznie katoliccy..."

W tym duchu pracuje ks. Robert. Jego zwierzchnicy kazali mu trzymać się następującego schematu:

„A) pracować jak wszyscy, by stać się jednym spośród ludzi ubogich; B) jeżeli oni sami tego zechcą, rzucić pracę i z ich pomocą ewangelizować środowisko; C) zwolna nadawać środowisku strukturę przyszłej parafii".

To wiele, to bardzo wiele. Ale ks. Serrurier przyznaje:

„Nie żąda się dość dużo od księży. I dlatego tak wielu z nich ginie".

Zwolna to nie ks. Serrurier staje się kierownikiem duchowym młodego misjonarza, ale ks. Robert odkrywa staremu kanonikowi drogę, jakiej tamten w ciągu długich lat kapłaństwa nie spostrzegł. Teraz i ks. Serrurier będzie pragnął połączyć się z najnieszczęśliwszymi. Lecz cóż może zrobić osiemdziesięcioletni starzec? Oto znajdzie skazanego na śmierć bandytę, pójdzie do niego do więzienia, poruszy jego serce, zachęci go do żalu, wyspowiada. A gdy przyjdzie noc poprzedzająca śmierć tamtego, stary kanonik zapragnie spędzić ją na modlitwie, by towarzyszyć swymi modlitwami umierającemu. Pozostanie w kościele na całonocnej adoracji. Rano ludzie znajdą go nieżywego. Umarł na atak serca.

Lecz jeszcze zanim umrze, kiedyś w rozmowie z ks. Robertem, ks. Serrurier wypowie mu swój lęk o los pracy takich jak on misjonarzy.

„Robercie — dla człowieka w moim wieku jest rzeczą tragiczną myśleć o twojej przyszłości. Myśmy byli księżmi świata zbudowanego od 200 czy 300 lat. Ta era skończyła się. Zaczęła się nowa. My, by administrować Królestwem Bożym, stosowaliśmy metody proste. Ileż było zdziwienia, gdy kiedyś zaczęło się mówić o zmianie formuł katechizmu, który mieliśmy jeszcze od czasów Bossueta. Biskupi mówili, myśmy słu-

chali. Ale już był dany sygnał. Wszystko zaczęło się rozkładać. Wierni dawniej praktykowali z obowiązku. Dziś posłuszeństwo nie wystarcza... Moje dziecko, gdy się ma w swoim arsenale tylko łaskę, trzeba przeżyć cały dramat nieba i piekła. ...Cóż za odpowiedzialność!...

„Wiedzieliśmy — napisał jeden z krytyków „*Rue Notre-Dame*" — że Kościół nie może umrzeć. Dowiadujemy się z książki, że nie może się zestarzeć. Oto schemat rzeczywistości, która od dwudziestu wieków fermentuje w chrześcijaństwie..."

IV

Ksiądz jest postacią najcharakterystyczniejszą powieści współczesnej. Nie tylko katolickiej. W kapitalnej „*La Peste*" A. Camus występuje piękna postać ks. Peneloux. We wstrząsającej książce o niemieckiej klęsce, w „*Stalingradzie*" T. Pliviera mamy scenę, gdy ks. Kalser, kapelan 376 dywizji, dysponuje na śmierć umierających z zimna żołnierzy. Dawna sekretarka André Gide'a, Beatrix Beck napisała ostatnio ciekawą książkę pt. „*Leon Morin, prêtre*". A w utworach katolickich? Mamy go w powieściach Mauriaka, Estanga, Waugha, Jacquemard, Queffelec'a, Andresa, Langgässer, Petroni, Hannoteaux, w sztukach Marcela, u nas w powieści Grabskiego, w opowiadaniach Żukrowskiego...

Czy powieść współczesna pokazuje nam jakiś jeden, względnie kilka określonych typów kapłańskich?

Myślę, że na podstawie omówionych przeze mnie książek można by odpowiedzieć na to pytanie: nie. Literatura współczesna nie zna określonego typu księdza. Jak powiedziałem, są to zawsze żywi ludzie. Gorący, miotający się w niepokoju don Ardito Piccardi, również niespokojny, ale bez porównania bardziej zrównoważony ks. Eudex, walczący bezskutecznie ze słabościami swego ciała ksiądz meksykański Greene'a, wreszcie opanowany, pełen głębokiego wewnętrznego pokoju ks. Martin — każdy z nich jest naprawdę kimś innym.

A przecież, będąc tacy odmienni usposobieniem i temperamentem, wszyscy oni są wyrazicielami jakby jakiegoś nowego kierunku w działalności kapłańskiej.

„Musimy stać się wewnętrznie katoliccy" — mówi kanonik Serrurier. I w tym, jak się zdaje, zawiera się istota rzeczy. Ksiądz — o tym mówią wyraźnie wszystkie utwory — nie może być tylko wyrazicielem nauki, powagi i godności Kościoła.

W systemie społeczno-gosp darczym, który istniał, Kościół miał swoje stanowisko. Ale kapitalizm od samego początku, ze względu na oderwanie życia społeczno-gospodarczego od życia religijnego, zdradzał oznaki dekadencji. Degenerując się, prowadził do coraz większych nierówności społecznych: do bogacenia się jednych kosztem drugich. Masy stworzonego przez wielki przemysł proletariatu obsuwały się w otchłań nędzy. Rewolucja francuska nie dała im nic, gdyż władza przeszła tylko z rąk arystokracji w ręce burżuazji. Burżuazja dochodząc do władzy występowała ostro przeciwko Kościołowi. Ale potem, gdy już umocniła się na swym stanowisku u steru, sama zagrożona przez coraz groźniej szumiące morze proletariatu, nagle poczęła w Kościele szukać oparcia. To był strach istoty, która dla swego pasożytniczego istnienia zbudowała pewną strukturę społeczną a teraz woła w stronę Kościoła, by stał na straży ...„istniejącego porządku". Kościół sojusznikiem burżuazji nigdy nie został, nie mógł zostać. Ale jej sojusznikami zostało wielu katolików, wielu, niestety, przedstawicieli duchowieństwa, zwłaszcza francuskiego.

„Za moich czasów... — mówi ks. Serrurier — żądało się od księdza, aby był z burżuazją". Przypomnijmy sobie także, co mówi proboszcz z Torcy w *„Journal d'un curé de campagne"* Bernanosa:

„Jak mnie tu widzisz, chętnie głosiłbym im, biedakom, bunt... Niesprawiedliwość, niewola, uważasz, to mi rozpala krew... Słynna encyklika Leona XIII, Rerum Novarum... gdy się to ukazało, kochaneczku, zdawało się nam, że ziemia zadrżała nam pod nogami. Co za entuzjazm. Byłem wtedy proboszczem w Norenfontes, w zagłębiu górniczym. Ta myśl, taka prosta, że praca nie jest towarem... że nie można spekulować na zarobkach, na życiu ludzkim, jak na zbożu, cukrze czy kawie, to poruszyło do głębi sumienia, uważasz? Za wytłumaczenie tego z ambony moim słuchaczom, ogłoszono mnie socjalistą i prawomyślni chłopi zadenuncjowali mnie biskupowi w Montreuil..."

Bo burżuazja, złożona z potomków tych, którzy tak niedawno stawiali ołtarze bogini Rozumu, poczęła nagle opiniować o tym, kto źle, a kto dobrze myśli po katolicku. Stworzyła pojęcia „podejrzanych" i „dobrze myślących". „Dobrze myślący" — to był katolik, który uznawał istniejący wyzysk. „Dobrze myślącym" księdzem był ksiądz, który nie spostrzegał, jak jego parafianin-fabrykant obcina płace swoim robotnikom. „Dobrze myślący" ksiądz musiał we wszystkich sprawach być po stronie najczcigodniejszych tzn. najbogatszych

w parafii. Jacy oni byli naprawdę, jak wyglądała w gruncie rzeczy ich moralność — och, o tym można by dużo mówić! Ta sama burżuazja, która powiększała majątki kosztem robotnika, uważała Renana i Zolę za swoich proroków. Ale chodziła do kościoła i tu zasiadała w pierwszych rzędach. Nie przestawała drwić z księży, z klasztorów, z „mroków Watykanu", z „brudnej wody" z Lourdes... Rozwodziła się, miała kochanki, sekularyzowała, — w 1902 r. — klasztory. Ale równocześnie wciąż żądała sojuszu „dobrze myślących" w obronie „istniejącego porządku". A gdy ksiądz nie roztrząsał jej zbyt natarczywie sumienia, gotowa mu była w nagrodę dać kilka groszy na j e g o biednych...

Próżno krzyczeli Bloy i Péguy. Burżuazja dbała o to, by ich nikt nie słyszał. Kler francuski z końca XIX w. był z burżuazją, nie z biedakami. Może nie powinniśmy go zbyt surowo sądzić. Księża sami wyrastali z biedaków. Gdy wchodzili — dzięki swojej sukience — między burżuazję i dowiadywali się, że ona gotowa ich jest teraz traktować jak swoich — tracili głowę. Odchodzili od tych, spomiędzy których wyszli. Ale i tamci, skrzywdzeni, odchodzili od nich. Piękne słowa nie mogły ich zatrzymać. Piękne słowa... Źle się ich słucha, gdy człowiek jest głodny i drży z zimna. Tylko święci łączą nędzę z bogactwami ducha. Zwykłym ludziom nędza zasłania wszystko.

Nie każdy ksiądz był Janem Vianney, nie każdy papież Piusem X. To prawda — Rerum Novarum Leona XIII stała się bombą. Ale nie od razu obudziła ona wszystkich. Gdy księża francuscy otworzyli wreszcie oczy, spostrzegli, że masy proletariatu odeszły już daleko od Kościoła. Tak samo działo się i poza Francją, w Anglii, Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, wszędzie tam, gdzie kapitalizm był zaawansowany i gdzie burżuazja dla swoich celów zdobyła sobie większość kleru.

Nagle okazało się, że aby być misjonarzem, nie trzeba już jechać do czarnych czy żółtych... Wszystkie banlieux Paryża stały się niby dziewicza puszcza. To Péguy mówił: dawniej istniały problemy dalekie: ochrzczenie Chin, Tartarii, Afryki... Dziś te problemy stały się dziwnie bliskie. A jednocześnie palące. Wymagały nagłej i radykalnej zmiany w sposobie działania. Kościół nie może być twierdzą, która tylko strzeże ognia Prawdy. Ten ogień zstąpił z nieba, by podpalić wszystko. „Wy

jesteście światłością świata. Nie może skryć się miasto na górze leżące. Ani też nie zapalają świecy i nie kładą jej pod korzec, ale na świeczniku, aby świeciła w s z y s t k i m..." (Mt. 5, 14—15). Ten ogień i to światło muszą być zaniesione ludziom. Zaniesione — a nie dane wtedy, gdy zechcą przyjść. Zagadnienie apostolstwa stało się naczelnym zagadnieniem pracy duszpasterskiej. Kiedyś, w XIII w., Chrystus nakazał świątobliwej zakonnicy, by powiedziała papieżowi, iż chce, aby wyniesiono Jego Boskie Ciało z kościoła na miasto i stawiono Je przed oczy ludziom zajętym swoimi codziennymi interesami w krętych, średniowiecznych uliczkach. Tak się stało — i w ten sposób powstało święto Bożego Ciała. To była rewolucja nad rewolucje. Bóg opuścił kościół i wszedł między ludzi. I ta rewolucja nigdy nie przestała obowiązywać. Chrystus chce iść do ludzi, którzy nie chcą lub nie mogą do Niego przyjść. I to księża muszą Go ludziom zanieść.

We Francji, w Belgii są już misjonarze, którzy pracują w fabrykach i kopalniach, jak ks. Robert z powieści ks. Pézeril. Ks. Thivollier założył ekipę księży, która podróżuje po parafiach robotniczych trzema ciężarowymi samochodami, w których mieści się kaplica i sala zebrań. Ekipa ta zrobiła w ciągu ostatnich czterech lat ponad 3500 km. Od 1943 r. istnieje we Francji zgromadzenie Braci Misjonarzy Wiejskich, założone przez dominikanina o. Epagneul. Bracia rozjeżdżają się na rowerach po wsiach, odprawiają msze św., spowiadają, organizują święcenie pól i inne pobożne obrzędy. To zgodnie z taką rzeczywistością ks. Eudex idzie między strejkujących robotników, zajmuje się ich losem, oddaje pikieciarzom strejkowym swoje boty. W innej noweli Powersa ksiądz udaje się do obleganego przez białych morderców domu Murzyna, by zanieść śmiertelnie ranionej Murzynce Wiatyk. Don Ardito ulega wezwaniu dwóch księży z Neapolu, którzy zamieszkali w barakach, gdzie się gnieżdżą bezrobotni, uważając, że w ten tylko sposób mogą się do tamtych zbliżyć. „*Les Saints vont en enfer*" — tak brzmi tytuł głośnej książki Cesbrona o księżach misjonarzach, jaka ukazała się ostatnio we Francji.

Wszyscy ci księża ze współczesnej powieści zmieniają swe miejsce w społeczeństwie. Przestali być z bogatymi, z mającymi władzę, stanęli obok ubogiego, pracującego ciężko, skrzywdzonego. Nie tylko są razem z nim. Podzielili jego dolę.

Wyrzekli się dobrobytu i wygody. Arcybiskup ks. Burnera chodzi po domu w dziurawych pantoflach i śpi na polowym łóżku. Ks. Eudex drze ofiarowany sobie czek. Ksiądz meksykański oddaje zebrane pieniądze najbiedniejszym, uświadomiwszy sobie nagle, że te pieniądze są dla niego większym niebezpieczeństwem niż wyrok śmierci wydany na niego tam, za górami...

Ksiądz — bohater powieści współczesnej — odszedł od społeczeństwa a teraz wraca do niego, by je zmienić. Oto jest sprawa, której służy. Nie wszyscy księża zrozumieli to jeszcze. Proboszcz ks. Eudex uważa, że księdzu wystarczy oscylować wśród dysonansów życia współczesnego i zachowywać godność — a już wszystko będzie w porządku. Don Camillo... Ach, jeszcze o tej książce należałoby powiedzieć. „*Piccolo Mondo di don Camillo*" jest w Europie równie poczytnym bestsellerem jak książki Robinsona i Powersa w USA, zaś powieść Greene'a w Anglii i we Francji. Jest to wspaniała satyra na życie w powojennych Włoszech. Jej autor, Giovanni Guareschi, napisał swoją powieść na wesoło, lecz pisząc ją w ten sposób nie umniejszył w niczym wagi poruszonego problemu. Bohaterami książki są dwaj ludzie: wiejski proboszcz don Camillo i wójt wsi Giuseppe Botazzi, zwany Pepponem, zagorzały komunista. Powieść — to nieustanne pasmo zaciekłych sporów, jakie wiodą ci dwaj, równie popędliwi w działaniu jak uczciwi przeciwnicy, będący, poza swoimi przekonaniami, najbardziej oddanymi sobie przyjaciółmi. Obie strony chwilami zacietrzewiają się w walce i obie się co pewien czas cofają. I ksiądz i wójt są całkowicie oddani swojej sprawie, lecz tą sprawą nie jest ani zewnętrzna chwała partii, ani też zewnętrzna chwała Kościoła. Obaj chcą poprzez swoje urzędy lepiej służyć ludziom.

Jest w książce taka wspaniała historia z dzwonem. Don Camillowi zamarzyło się mieć przy kościele wspaniały dzwon taki sam, jaki miał przed wojną. W końcu udało mu się tak „omotać" pewną starą i bogatą lichwiarkę, że ta obiecała mu ofiarować na dzwon odpowiednią sumę. Don Camillo ma wreszcie potrzebne pieniądze.

Ale pewnego dnia jakiś dzieciak wypisał na drzwiach plebanii jakiś antyklerykalny napis. Don Camillo ujrzawszy to zza żaluzji, rzucił się w pogoń za winnym i szybko go dopędził. Ale gdy chwycił dzieciaka, syna jednego z podwładnych Peppona, za rękę uświadomił sobie, że ta rączka dziecka jest

dziwnie cienka. To było odkrycie: chłopiec jest słaby, chorowity. Z kolei don Camillo popatrzył po twarzach innych dzieci. I zobaczył to samo.

Ksiądz idzie zdecydowanym krokiem do swego przyjaciela i adwersarza. Dlaczego nie wyślesz dzieci na kolonie? — pyta go surowo. Źle wyglądają, a poza tym mażą mi jakieś świństwa po drzwiach... — Nie mam pieniędzy! — odrzuca księdzu Peppone, już wściekły, bo i jego boli sprawa złego wyglądu dzieci. — Niech ci da na to partia! — ciska don Camillo. — Niech na to dadzą twoi Amerykanie! — odpowiada z równą furią Peppone.

Don Camillo wraca do siebie. Po drodze ochłonął z bojowego zapału. Dzieci muszą jechać na kolonie, myśli. Ale skąd wziąć pieniędzy? Wprawdzie pieniądze są, ale przeznaczone na dzwon. Ten dzwon ma podnieść chwałę wiejskiego kościoła, chwałę Bożą. Poza tym stara lichwiara dała je, gdyż jej wytłumaczył, że Bóg chce, aby swoje grzechy okupiła tym darem. Jak z tego wybrnąć? Don Camillo decyduje się. Idzie do lichwiarki...

Wieczorem codziennie don Camillo staje przed krucyfiksem w kościele i spowiada się Chrystusowi ze wszystkiego, co tego dnia zrobił. Jezus go gani lub chwali.

— Panie Jezu — powiada don Camillo — moja lichwiarka zgodziła się, że za pieniądze przeznaczone na dzwon nasze dzieci ze wsi pojadą na kolonie...

— To dobrze — odpowiada głos z góry.

— Ale, Panie Jezu, — don Camillo ma jeszcze wątpliwości — ona nie chciała się na to zgodzić... Zgodziła się dopiero, kiedy jej powiedziałem, że to Ty tego chcesz...

— Dobrze powiedziałeś, don Camillo — uśmiecha się Chrystus — to prawda. Ja tego chcę...

Właśnie w postaci wesołego don Camilla widzimy, jak się formuje nowa postawa księdza. Don Camillo jest jeszcze przywiązany do zewnętrznej chwały Kościoła, jeszcze czuje się na swym stanowisku proboszcza bardziej wodzem niż wykonawcą, jeszcze rozumie budowanie Kościoła jako budowanie z cegieł. Don Camillo nie zna doświadczeń księży francuskich, których opuściła ich trzódka. Ludność włoska jest oddana wierze i Kościołowi. Ale don Camillo przeżył wojnę, zaś doświadczenia wojenne odkryły mu to, co tamtym ukazała nędza. Jeżeli niepohamowana żądza zysków spowodowała wojnę, to wojna z drugiej strony obnażyła duszę nowoczesnego

człowieka, z jego wszystkimi słabościami. Wielu katolików i wielu księży wyobrażało sobie do niedawna, że świat składa się z ludzi dobrych i złych, z dobrych — którzy chcą przyjść do Kościoła i ze złych — którzy do Kościoła nie idą. Doświadczenia wojenne obaliły tę naiwną strukturę świata. Do każdego człowieka — mimo całej jego słabości — może przyjść Jezus i do każdego chce przyjść. Lecz jak to sprawić? Słowami? Jakże często słowa są niewystarczające! Czynem miłości. Działanie miłości jest zawsze skuteczne. Tylko, że równocześnie — jest bardzo fatygujące.

Ks. Serrurier powiedział ze smutkiem o sobie, że był przez całe życie „prêtre administratif" — księdzem-urzędnikiem. Iluż jest takich! W ich kościele wszystko idzie jak w zegarku, niby w urzędzie, w którym wszystkie okienka otwierają się i zamykają wedle oznaczonych godzin. Msze są od tej do tej godziny, spowiedź od tej do tej, Komunię św. rozdaje się wtedy a wtedy... Czy jednak pamięta się tam, że Tabernaculum i konfesjonał powinny mieć drzwi łatwo się otwierające, dające się otworzyć nawet w porach niewygodnych dla księdza, lecz jedynie dostępnych dla potrzebującego? Czy pamięta się tam, że w domach leżą chorzy, którzy nie mogą przyjść, a przecież bardziej niż ktokolwiek inny potrzebują pomocy? Że ministrantom nie wystarczy pozwolić kopać piłkę na podwórzu plebanii, ale trzeba w ich grze wziąć udział? Że gdy skończą grać, trzeba im pomóc w lekcjach lub znaleźć im właściwą książkę w bibliotece?

Myślę, że każdy zdaje sobie z tego sprawę, jak strasznie zapracowany jest ksiądz nie będący urzędnikiem. Że może mu braknąć czasu na odpoczynek, na rozrywkę, na czytanie, na ambicje naukowe czy artystyczne, ba, nawet na brewiarz. „Nie mogę robić kpin z brewiarza — mówi ks. Robert do ks. Serrurier.

— Jeśli nie uda mi się zacząć go przed jedenastą lub kwadrans po jedenastej, nie przyśpieszam dla obawy, aby nie zostać o północy z nieodmówionym psalmem, a w dodatku i ciężarem grzechu śmiertelnego... Lecz w takim razie zasypiasz nieraz z nieodmówionym psalmem? — Jeśli mi brak materialnego czasu, by go odmówić, odpowiedział, czyż Bóg może tego ode mnie żądać?... W ciągu dwudziestu czterech godzin zawsze jest dość czasu, by odmówić brewiarz. Czytałeś gazetę... — O nie, ojcze — przerwał. Wstaję, by odprawić mszę o wpół do siódmej... Śniadanie i obiad zajmują mi razem dwadzieścia minut, to chyba nie nazbyt wiele, biorąc pod uwagę, że sam muszę sobie grzać jedzenie. Wieczorem mam zebrania aż do godziny, o której mówiłem... Bóg mnie

powołał do orania cały dzień, wydarł mnie samemu sobie, starł — dlaczegóż miałbym czuć wstyd, gdy tak staję przed Nim wieczorem? — Lecz czy twoja praca jest dobrze zorganizowana? zapytałem. Czy nie marnuje się czasu, nie przyjmuje się niepotrzebnych zobowiązań, nadmiernych zajęć? — Egzaminuję się ciągle w tej materii — przyznał. Ale życie jest surową macochą. Nie zawsze mogę nawet zaspokoić jego potrzeby..."

Rzeczywiście — wzdycha ks. Serrurier — „księża paryscy, którzy mają czas, to są ci, którym braknie gorliwości..."

V

Jeszcze za czasów Bloy ktoś powiedział to zdanie, a Bloy lubił je powtarzać: „Mierny ksiądz tworzy złą parafię, dobry ksiądz — mierną parafię, święty ksiądz — dobrą parafię". Dziś, gdy parafia jest coraz mniej związana z księdzem, gdy ksiądz musi nią nie tylko kierować, ale ją tworzyć — może należało by powiedzieć jeszcze surowiej. A przecież Chrystusowi potrzebne są dobre parafie. I dlatego potrzebni są święci księża.

Świętość... Coraz częściej się o niej mówi. Uświadomiliśmy sobie ostatnio bardzo mocno, że nie ma katolicyzmu bez walki o świętość. Nie mieści się ona, jak to zauważyła św. Teresa od Dzieciątka Jezus, „w tej lub owej praktyce", nie jest jej wyrazem ani uznanie ani prześladowanie. Zawiera się ona, jak powiada św. Teresa, w „usposobieniu serca", które się wyraża poprzez swoisty styl życia. Człowiek zmierza ku świętości, gdy wszystko ofiarowuje Bogu i wszystkiego od Boga oczekuje.

Powiedziałem, że Kościół nigdy nie był i nigdy nie mógł być sojusznikiem burżujstwa. Dla marksisty słowo burżuazja jest pojęciem społeczno-klasowym. Lecz dla nas, katolików, musi być pojęciem moralnym. Burżujstwo, co tak świetnie scharakteryzowali Bloy i Héllo, to jest to, co ostatnio zaczęliśmy nazywać terminem „życia ułatwionego". Jest to szukanie we wszystkim zysku, wygody i przyjemności. Hedonistyczne: carpe diem! Rezygnacja z wszelkiego wysiłku — jeżeli tylko nie prowadzi bezpośrednio do osobistego zysku — z ofiary, z podporządkowania się woli Bożej. Jest to wewnętrzna pustka pokryta jednak parawanem pozorów. Burżujstwo i faryzeizm są tym samym. Burżujstwo i letniość w ujęciu ignacjańskim — są tym samym. Wedle Simony Weil — pamiętamy jej podział? — przedstawicielami burżujstwa są ludzie, którzy nie uznają istnienia problematyki moralnej. Nie uznają przeciwstawności zła i dobra. Lecz w gruncie rzeczy między ludźmi bez mo-

ralności a bałwochwalcami różnica jest czasami bardzo niewielka. Bo człowiek bez moralności w istocie czci samego siebie. Egzystencjalni czciciele honoru, gestu, wyboru, wolności są jakże często tylko czcicielami swego własnego ja.

Burżujstwo nie jest tylko wrogiem zewnętrznym. O wiele bardziej jest wrogiem wewnętrznym. Tkwi w każdym z nas. W każdym z nas dzięki chwilowej nieuwadze może wyrosnąć opasły burżuj. Na każdego z nas czyha mierność, letniość, faryzeizm. Nigdy, nigdy nie jesteśmy od nich całkowicie bezpieczni!

Swiętość jest zerwaniem z tym stylem życia a przyjęciem stylu innego: ofiary, walki wewnętrznej, poświęcenia a równocześnie pokory. Pokora jest tu koniecznie potrzebna. „Szatan — pisze ks. Pézeril w swej powieści — atakuje w sposób okrutny dusze twórcze. Otwiera przed nimi przepaść niepokoju, podobnego do pokory serca. Ten, który żył nadzieją, czuje nagle jakby to źródło wyschło... Słuchać trzeba wtedy św. Jana od Krzyża, który radzi duszy zamilknąć, by wreszcie Łaska mogła ją ogarnąć..."

O czymś podobnym pisze także w swych wspaniałych rozważaniach Tomasz Merton (*„Poezja i kontemplacja"*). Zwraca on uwagę na to, że wielu ludzi o naturze artystycznej dość łatwo daje się wciągnąć na pierwszy etap kontemplacji, załamuje się jednak, gdy staje w obliczu oczekiwania na kontemplację wlaną. To jest właśnie moment, w którym szatan karmi ludzi niepokojem, podobnym do pokory.

Czyż to nie ten niepokój odkrywaliśmy w niektórych postaciach powieści Bernanosa, zwłaszcza w ks. Donissan, albo u Cocciolego w postaci don Piccardi? To są ludzie, którym łatwiej jest o najcięższą ofiarę niż o pokorę. Natomiast proboszcz w Ambricourt, ks. Gaston czy ks. Smith Marshalla są tak pełni pokory, że nie ma w nich prawie niepokoju.

Tematem, który się przewija poprzez każdą katolicką powieść współczesną, jest temat świętości. Tym ostrzej występuje on w powieści, której bohaterem jest ksiądz. Święty ksiądz jest człowiekiem, który swoją świętością walczy z szatanem, walczy o całą gromadę ludzką — przeważnie o swą parafię. Życie parafii jest w jakimś stopniu uwarunkowane życiem księdza. Ks. Piccardi, ks. Gaston, ks. Martin walczą o ludzi sobie powierzonych.

Lecz co się dzieje, jeśli ksiądz daleki jest od świętości? Ks. Cénabre (ze znakomitej powieści Bernanosa *„L'Imposture"*, która ostatnio ukazała się po polsku pt. *„Zakłamanie")* podobnie jak ks. Burner kłamią udając powołanie, a kłamiąc nie tylko nie wypełniają swoich zadań kapłańskich ale i sami narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Bohater powieści *„Les fascinés"* Simony Jacquemard odwrotnie zdradza swoje powołanie, ucieka od kapłaństwa. Lecz niedające się zatrzeć piętno sakramentu pozostaje na nim. Poprzez straszliwe cierpienie osamotnienia musi mu pozostać wierny.

Ale czy ksiądz jest czy nie jest święty — pozostaje księdzem, rozdawcą Sakramentów, „aniołem ziemskim" — jak mówiła św. Katarzyna. I to jest ta wstrząsająca tajemnica jego stanu.

Jan Dobraczyński

TOMASZ MERTON

POSIEW KONTEMPLACJI

(Ciąg dalszy)

23. NOC ZMYSŁÓW

Życie kontemplacji wlanej nie zawsze rozpoczyna się od przeżywania w pełnym świetle wyraźnego zjednoczenia z Bogiem. Chwile ucieczki i wyzwolenia z utrudzających, zwykłych sposobów, jakimi umysł nasz poznaje rzeczywistość, muszą być stosunkowo rzadkie. Rozpoznanie tych nagłych, intensywnych błysków daru Rozumu, tych jaskrawych „promieni ciemności", wdzierających się głęboko w duszę i zmieniających bieg całego naszego życia, nie jest trudne. One przynoszą z sobą własne przeświadczenie. Zrywają z naszych oczu ślepotę jak łuski. Dają nam zbyt głęboką, nową i spokojną pewność, żebyśmy mogli o niej prędko zapomnieć albo zupełnie się co do niej pomylić.

Ale jeśliby człowiek miał czekać na takie doświadczenia zanim odda się życiu kontemplacyjnemu, mógłby czekać bardzo długo — niekiedy całe życie. A może wyglądałby ich do końca nadaremnie.

Najczęściej duch uczy się wiedzy kontemplacyjnej od Boga nie w jednym, nagłym błysku ale niepostrzeżenie i stopniowo. A w rzeczywistości nie zdobędziemy jej nigdy bez uprzedniego położenia pod nią mocnych podstaw długich i wytrwałych wysiłków i bez powolnego postępu naprzód w mroku czystej wiary. Kilka odosobnionych, choćby najintensywniejszych przebłysków duchowego rozumienia i mądrości nie wprowadzą jeszcze człowieka w życie kontemplacyjne w całym znaczeniu tego słowa: bo modlitwa jest tylko wtedy tym, co nazywamy modlitwą mistyczną, kiedy mniej lub więcej przechodzi w stały zwyczaj.

Zwykła droga do kontemplacji wiedzie przez bezdrzewną pustynię, pozbawioną wody i pięknych widoków. Duch wchodzi

w nią i wędruje na oślep w różnych kierunkach, które zdają się oddalać go od zdolności widzenia, od Boga, od radości i wszelkiego celu. I może mu być bardzo trudno uwierzyć, że ta droga jednak gdzieś prowadzi, a nie biegnie jedynie w pustkę, pełną wyschłych szkieletów, w ruiny wszystkich naszych nadziei i dobrych postanowień.

Widok tej pustyni tak przeraża większość ludzi, że nie chcą zapuszczać się na jej palące piaski i błąkać się pomiędzy jej skałami. Nie mogą uwierzyć, że do kontemplacji i świętości dochodzi się przez takie przestrzenie wyniszczenia, w których nie można znaleźć żadnej ochrony ani miejsca spoczynku, żadnej ochłody ani pożywienia dla wyobraźni, intelektu i pragnień wrodzonych naszej naturze.

W przekonaniu, że miarą doskonałości jest bystre wniknięcie w Istotę Boga i gorące postanowienia rozpalonej miłością woli, że świętość jest sprawą uczuciowej żarliwości i namacalnych wyników, nie chcą mieć nic wspólnego z taką kontemplacją, która nie jest rozkoszą dla intelektu i nie dostarcza umysłowi i woli żadnych pociech ani dotykalnej radości. Chcą wiedzieć, dokąd idą i widzieć, co robią; i gdy tylko zapuszczą się w dziedziny, gdzie ich własna działalność zostaje sparaliżowana i nie przynosi widomego owocu, zawracają z drogi na urodzajne, zielone pola, gdzie mogą mieć pewność, że skutecznie pracują i zmierzają do jakiegoś celu. A jeżeli nie potrafią osiągnąć tak żarliwie i niespokojnie oczekiwanych wyników, starają się przynajmniej przekonać siebie, że zrobili wielkie postępy, kiedy odmówili wiele modlitw, zadali sobie liczne umartwienia, wygłosili dużo kazań, przeczytali (a może i napisali) wiele książek i artykułów, przejrzeli mnóstwo dzieł o rozmyślaniu, przyswoili sobie setki nowych i różnorodnych praktyk pobożnych i opasali całą ziemię szeregiem pielgrzymek. Nie można powiedzieć, żeby te rzeczy nie były same w sobie dobre: ale mogą być w życiu człowieka chwile, kiedy one stają się ucieczką, narkotykiem, ochroną przed przyjęciem na siebie odpowiedzialności i cierpienia w ciemności, ukryciu i niemocy — przed pokornym zezwoleniem Bogu, żeby On nas ogołocił z naszej fałszywej osobowości i przetworzył nas w nowych ludzi, jakimi powinniśmy być zgodnie z naszym prawdziwym przeznaczeniem.

Kiedy Bóg zaczyna wlewać światło wiedzy i rozumienia w ducha człowieka, powołanego do kontemplacji, napełnia go

zwykle nie tyle świadomością osiągniętego celu, co właśnie poczuciem zawodu i klęski.

Umysł zdaje sobie sprawę, że wchodzi w mrok nieznanej i milczącej nocy. Myślenie staje się skrępowane i utrudnione. Zjawia się szczególnie przykre uczucie znużenia i wstrętu do wszelkich czynności umysłu i ducha. A jednocześnie duszę trapi tajemny lęk, czy ta nowa bezwładność nie jest grzechem i oznaką niedoskonałości. Próbuje więc przymusić się do aktów myśli i woli. Czasem czyni szaleńcze wysiłki, ażeby wycisnąć z siebie jakieś uczucie żarliwości, co w tym wypadku jest najgorszą rzeczą. Wszystkie piękne obrazy i pojęcia Boga, które dusza niegdyś hodowała w sobie, zanikły albo zamieniły się w groźne i odstręczające karykatury. Teraz nigdzie nie znajduje Boga. Słowa modlitwy wracają do niej jak puste echo z głębi zamarłej pieczary.

Jeżeli człowiek dopuści wtedy, żeby lęk, niecierpliwość i niepokój zawładnęły jego duszą, stanie na martwym punkcie. Będzie się plątał, kręcił w kółko i zadręczał się daremnymi próbami dotarcia do jakiegoś światła, odczucia jakiegoś ciepła i odzyskania dawnych pociech, do których nie może już powrócić. A w końcu ucieknie od tej ciemności i będzie usiłował omamić się pierwszym światełkiem, jakie napotka na swej drodze.

Za to inni, nie bacząc na wahania i trudy, jakim muszą się poddać w tej nagiej ziemi, w którą Bóg ich zaczyna wprowadzać, czują się coraz bardziej i coraz dalej pociągnięci w głąb tej spustoszonej krainy. Nie są w stanie zastanawiać się ani rozmyślać; wyobraźnia dręczy ich wszystkim tym, na co nie chcieliby patrzeć; życie modlitwy jest dla nich pozbawione pociechy, światła i wszelkich uczuć pobożności.

Z drugiej strony przeczuwają rodzajem instynktu, że w sercu tej ciemności ukrywa się pokój. Coś każe im pozostawać w zawieszeniu i ciszy, zaufać Bogu i nadsłuchiwać Jego głosu, być cierpliwym i unikać podniecenia. Wkrótce dochodzą do przeświadczenia, że wysiłki w kierunku rozmyślania wzbudzają w nich jedynie wzburzenie i zamęt. Równocześnie jednak, kiedy tak trwają w milczeniu nagiej wiary, w prostym czuwaniu z otwartymi oczyma, skupiając całą swą uwagę na tej ciemności, która im zastępuje drogę — nieokreślony i ledwo dostrzegalny pokój zaczyna się wsączać w ich duszę i napełnia ją głębokim, niezrozumiałym zadowoleniem. To ukojenie jest nieuchwytne i ciemne. Nie można go dotknąć ani dokładnie

określić. Wymyka się i oddala z kręgu światła świadomości. A przecież rzeczywiście w nas jest.

Ale czym ono jest? Trudno na to odpowiedzieć, czujemy jednak, że można by je streścić wyrażeniem „wola Boga", albo jeszcze prościej słowem: „Bóg".

Ten, kto nie dopuści, żeby jego duch zniechęcił się i zaniepokoił tą oschłością i niemocą, ale pozwoli Bogu prowadzić się spokojnie przez pustynię, nie żądając żadnego oparcia ani wskazówki poza czystą wiarą i ufnością, dojdzie do głębokiego i dającego pokój zjednoczenia z Bogiem.

Człowiek, nie lękający się złożyć cały swój duchowy postęp w ręce Boże i powierzyć swoją modlitwę, cnotę, łaskę i wszelkie inne dary jedynie pieczy Tego, od Którego one wszystkie muszą pochodzić, osiągnie wkrótce głęboki pokój w zjednoczeniu z Bogiem.

Podobnie jak światło wiary jest ciemnością dla naszego umysłu, tak i najwyższe, nadprzyrodzone działanie naszego intelektu i woli w kontemplacji i miłości wlanej wydaje się nam z początku zupełną bezczynnością. Dlatego też nasze przyrodzone władze miotają się, niepokoją i nie chcą się uciszyć. One pragną, żeby ich czyny jedynie z nich wypływały. Świadomość, że nie mogą tu działać według własnego upodobania, staje się dla nich przyczyną cierpień i upokorzenia, na które nie łatwo im się zgodzić.

Ale kontemplacja wznosi nas wysoko ponad sferę naszych przyrodzonych władz. Kiedy lecisz samolotem nisko ponad ziemią, zdajesz sobie sprawę, że gdzieś jedziesz — ale w stratosferze, chociażbyś osiągnął siedmiokrotnie większą szybkość, zatracasz wszelkie wrażenie pędu.

Skoro tylko mamy rozumne powody do przypuszczania, że Bóg chce pociągnąć nasze dusze na drogę kontemplacji, powinniśmy trwać spokojnie na modlitwie, doprowadzonej do ostatecznej prostoty, oczyszczonej z obrazów i ogołoconej z wszelkich aktów i rozmyślania i tak czekać w próżni i czujnej nadziei, ażeby spełniła się w nas wola Boża. To oczekiwanie musi być pozbawione niepokoju, a także głodu jakiegokolwiek przeżycia, mieszczącego się w ramach naszej wiedzy i naszych wspomnień, bo każde doświadczenie, które moglibyśmy zrozumieć i myślą ogarnąć, byłoby tu niewłaściwe i niegodne tego stanu, do jakiego Bóg pragnie doprowadzić nasze dusze.

Oto najważniejsze pytanie, jakie ludzie stawiają dochodząc do tego punktu: „Jakie znaki wskazują nam, że już możemy bezpiecznie zaniechać formalnego rozmyślania, trwając jedynie w tym mniej lub więcej biernym oczekiwaniu?"

W pierwszym rzędzie, jeżeli rozmyślanie i modlitwa afektywna są dla ciebie nadal łatwe, bezpośrednie i owocne, nie powinieneś ich przerywać. Ale jeżeli stały się prawie niemożliwe albo jeżeli tylko wyczerpują i odrętwiają twój rozum i wolę, budząc w nich wyraźny wstręt — wówczas byłoby raczej z twoją szkodą, gdybyś zmuszał umysł do wyznaczonych z góry myśli a wolę do rutyny spełniania określonych aktów. Kiedy praca wyobraźni (chociażby zachowującej dużą zdolność działania) nie daje ci żadnego zadowolenia ani nie przynosi żadnego owocu, a tylko niepokoi cię i nuży, nawet gdy zajmuje się najbardziej pociągającymi przedmiotami ze sfery przyrodzonej czy duchowej — może to być oznaką, że powinieneś zaniechać czynnego rozmyślania. A jeżeli równocześnie osiągasz rzeczywisty pokój i korzyść przez trwanie w prostym i wiernym oczekiwaniu na pomoc Bożą, to lepiej jest pozostać w tym stanie, niż dręczyć umysł i wolę daremnym wysilaniem się na wyciśnięcie z nich kilku myśli czy uczuć. Bo zastanowiwszy się głębiej nad sobą zobaczysz, że twój umysł jest pochłonięty jedną, wielką, niesprecyzowaną myślą o Bogu a twoja wola jest zajęta, albo nawet całkowicie opanowana, ślepym, szukającym w mroku i nie zupełnie określonym Jego pożądaniem. Połączenie tych dwóch dążności wytwarza w tobie tę ciemność, bezradność i niepokój, które sprawiają, iż poszczególne i świadome akty stały się teraz dla ciebie tak trudne i jednocześnie bezowocne. Ale gdy zgodzisz się na pozostawanie w milczeniu i wewnętrznej próżni, przekonasz się wkrótce, że to pragnienie i ten głód, szukające Boga w ciemności i własnej ślepocie, będą w tobie wzrastać. Jednocześnie, mimo że pozornie nie napotykasz jeszcze na nic dotykalnego, pokój będzie się ustalał w twojej duszy.

Z drugiej strony, jeżeli zaniechanie medytacji ma mieć jedynie ten skutek, że umysł straci żywotność a wola zamieni się w kamień, tak że opierając się o ścianę spędzisz te pół godziny, przeznaczone na rozmyślanie, na zastanawianiu się nad tym, co dostaniesz na kolację — lepiej zajmij się jakąś pracą. Istnieje bowiem zawsze możliwość, że lenistwo przebierze się za „modlitwę ukojenia" albo „modlitwę prostoty" i wyrodzi się

w senność i odrętwienie. Wszak sam brak wszelkiego działania jeszcze *ipso facto* nie jest kontemplacją.

I tutaj może ci być czasem pomocą książka. Jeżeli znajdziesz jakiś ustęp czy zdanie, które cię zainteresują, przestań czytać, wchłaniaj je, zgłębiaj i zastanów się nad nimi, wreszcie spocznij w niewymuszonym, pogodnym rozpatrywaniu nie ich szczegółów, ale ich treści ogólnej, jako myśli przewodniej, którą przenikniesz i zachowasz w jej całokształcie; od niej dopiero przejdź do spokojnego oczekiwania Boga. Jeśli zauważysz, że grożą ci roztargnienia, powróć do książki, do tego samego lub do innego zdania. Może ci być w tym pomocne Pismo Święte, albo obrazy, albo fragmenty modlitw ustnych. Rozmyślaj w ten sposób, najlepiej w obecności Najświętszego Sakramentu — ale także i w lesie, pod drzewami. O każdej porze dnia daleka przestrzeń i pogoda pięknego widoku są dostatecznym bodźcem, ażeby dusza kontemplacyjna pozwalała się nieść całymi godzinami łagodnej fali wewnętrznego pokoju.

Bezczynność modlitwy kontemplacyjnej jest tylko pozorna. Pod jej powierzchnią umysł i wola zostają wciągnięte w krąg innego działania, które jest głębokie, intensywne i nadprzyrodzone, a wylewając się ponad brzegi naszego istnienia przynosi nieobliczalne plony.

Nie ma takiego rodzaju modlitwy, w którym by można być zupełnie bezczynnym. Jeżeli nic nie robisz, to się i nie modlisz. Ale z drugiej strony, jeżeli Bóg zapanuje nad twoją wewnętrzną pracą przez dary Ducha Świętego i stanie się jej bezpośrednią przyczyną, działalność twoich władz może się znaleźć poza wszelką oceną świadomości a jej wyniki mogą być niewidoczne i nie dające się namacalnie sprawdzić.

Modlitwa kontemplacyjna jest głęboką ale bardzo uproszczoną czynnością duchową, w której umysł i wola spoczywają w jedności prostego skupienia naszej istoty w Bogu, zwracają się ku Niemu, dążą do Niego i dają się pochłaniać Jego światłu. To zapatrzenie się w Boga jest zarazem doskonałym aktem uwielbienia, ponieważ milcząco wyraża naszemu Stwórcy, że wszystko opuściliśmy dla Niego i pragniemy nawet wyrzec się samych siebie, że On jeden coś dla nas znaczy, On jeden jest naszym życiem i pragnieniem i nic innego poza Nim nie może być dla nas szczęściem.

24. FAŁSZYWY PŁOMIEŃ

Na każdym stopniu życia wewnętrznego, a nawet i tam, gdzie go w ogóle nie ma, człowiek może czasami popaść w stan fermentu religijnego, w którym zalewają go fale dotykalnych a niekiedy i czułostkowych uczuć miłości do Boga i bliźnich. I jeżeli jest zupełnie niedoświadczony, może łatwo nabrać przeświadczenia o swojej świętości z powodu pobożnych wzruszeń, rojących się w jego sercu.

Wszystko to jednak niewiele albo nawet i nic nie znaczy. Jest to rodzaj uczuciowego upojenia, wywołanego tą lub ową przyjemnością, a różnica pomiędzy tymi wzruszeniami a łzami dzieci, płaczących niekiedy przy oglądaniu filmów w kinie, jest tylko przypadkowa.

Same w sobie te poruszenia serca są obojętne. Mogą być użyte na dobro, równie jak i na zło, a dla tych, co stawiają pierwsze kroki w życiu duchowym, są zazwyczaj potrzebne. Ale nawet początkujący czyni nieroztropnie polegając zbytnio na nich, bo prędzej czy później będzie się musiał bez nich obejść. W istocie jego życie wewnętrzne nie będzie się mogło na dobre rozpocząć, dopóki się nie nauczy, choć w pewnej mierze, postępować naprzód bez tych bodźców uczuciowych.

Wchodząc w życie kontemplacyjne wnosimy w nie nadal nasze namiętności i naszą zmysłową naturę, które stanowią w nas niezabezpieczony zbiornik benzyny. Czasem iskry przelatujące w czystej ciemności kontemplacji dostają się przypadkowo do tego palnego materiału i wzbudzają pożar w zmysłach i uczuciach.

Cały duch zostaje wówczas wstrząśnięty i rozkołysany wybuchem upajającej radości albo burzą skruchy, które mogą być dobre i zdrowe, ale należą jeszcze zawsze mniej lub więcej do naszej zwierzęcej natury, chociażby nawet iskra, rozpalająca ten ogień była nadprzyrodzonego pochodzenia.

Ten pożar rozpłomienia się i wypala w przeciągu kilku chwil, albo w pół godziny. Dopóki jednak trwa, uczuwasz intensywną rozkosz. Bywa ona niekiedy łudząco wzniosła, ale od czasu do czasu zdradza swoje pochodzenie pewną ociężałością, która należy jeszcze do ludzkiego poziomu i znaczy ją piętnem tego, czym ona jest w istocie — to jest uczucia. Wybuch duchowego entuzjazmu może być bardzo korzystny w dzień świąteczny po tygodniach walk i trudów. Ale na ogół skutek takiego podniecenia nie sięga ponad poziom natury. Z chwilą, gdy ono prze-

minie, nie wyciągasz z niego większej korzyści niż z kilku kieliszków szampana albo z dobrego pływania. Ponieważ mnisi nie pływają ani nie piją szampana, może i to być dla nich w pewnych granicach dobre.

Ale istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że będziesz przykładał fałszywą miarę do tych objawów religijnego wzruszenia. Gdyż w rzeczywistości nie są one wcale ważne i chociaż nieraz trudno ich uniknąć, roztropność nakazuje nie starać się o nie. I bez wątpienia każdy, kto ma już za sobą jakie takie przeszkolenie w życiu wewnętrznym, zdaje sobie sprawę, że nie jest rzeczą rozsądną dążyć do tych pociech ze zbyt wielkim natężeniem woli. Mimo to, wielu z tych, co wydają się być wyżsi ponad szukanie zmysłowego pierwiastka w religii, wykazuje rodzajem swej pobożności, upodobaniem do sentymentalnych obrazów, słodkiej muzyki i rozwodnionych książek dewocyjnych, że całe ich życie duchowe jest upartym pościgiem za „światłami", „pociechami", „łzami żalu", jeśli już nie za „wewnętrznymi słowami" i lekko zamaskowaną nadzieją jakiejś jednej czy kilku wizji a może nawet stygmatów.

Dla każdej duszy powołanej do kontemplacji wlanej zamiłowanie do tych „przeżyć" może się stać jedną z najniebezpieczniejszych przeszkód w rozwoju duchowym. Jest ono skałą, o którą rozbiło się wielu takich, co mogli byli dojść do prawdziwego życia mistycznego. A to niebezpieczeństwo jest tym większe, że nawet w domach żakonów kontemplacyjnych nie zawsze dość jasno pojmuje się różnicę pomiędzy kontemplacją mistyczną w ścisłym znaczeniu a tymi jej przypadłościami, do których trzeba zaliczyć wszystkie te objawy, przeżycia i sensacje, które mogą być lub nie być nadprzyrodzone, ale nie mają istotnego związku z osobistym uświęceniem ani z czystą miłością, stanowiącą jądro i treść życia mistycznego.

Dlatego też najzdrowszą reakcją na te objawy jest wewnętrzny wstręt do przyjemności i podniecenia, jakie im towarzyszą. Zdawaj sobie sprawę, że one nie przynoszą ci rzeczywistej korzyści ani trwałego zadowolenia i nie objawiają ci nic niezawodnego o Bogu czy o tobie samym. Nie dają ci prawdziwej siły, tylko złudzenie świętości. A w miarę nabywania doświadczenia spostrzeżesz, jak bardzo cię mogą zaślepiać i jak są zdolne oszukiwać cię i sprowadzać na błędne drogi.

Będziesz więc starał się z nich wywikłać albo unikać okazji do nich, jeżeli wiesz, co je sprowadza. Ale nie wprawiaj się znów w stan wzburzenia, opierając się im gwałtownie. Wy-

starcza jeśli zachowasz w stosunku do nich spokojną obojętność.

Jeżeli jednak istotnie nie zdołasz zapobiec tym uczuciom upojenia i radości duchowej, przyjmij je cierpliwie, a nawet z pewną wdzięcznością, lecz z rezerwą i z pokorą, uświadamiając sobie, że nie doznawałbyś tak podniecających wzruszeń, gdyby w tobie nie podnosiło się jeszcze tak dużo naturalnych oparów. Nie dawaj przyzwolenia na to, co w tym wszystkim mogłoby być nieuporządkowane, zostawiając resztę Bogu i czekając na godzinę ostatecznego wyswobodzenia się w istotnej radości — czystej, duchowej radości takiej kontemplacji, w której natura i jej wzruszenia i twoje własne samopoczucie nie będą już grały żadnej roli; ty za to zostaniesz w niej cały zatopiony i pochłonięty, już nie w bełkocącym odurzeniu zmysłów, ale w jasnym i przedziwnie czystym upojeniu ducha wyzwolonego w Bogu.

25. WYRZECZENIE

Droga do kontemplacji wiedzie przez ciemność tak mroczną, że przestaje już być dramatyczną. Nie pozostaje w niej nic, co by można było uchwycić albo czym można by się chlubić jako bohaterstwem lub nadzwyczajnością. I tak dla prawdziwego mistyka będzie zawsze niesłychanie cenny zwykły porządek pracy i ubóstwa, trudów i jednostajności, stanowiących treść życia wszystkich biednych, nieinteresujących i zapomnianych ludzi na świecie.

Chrystus, który przyszedł na ziemię, ażeby doprowadzać ludzi do kontemplacji i uczyć ich świętości i modlitwy, mógł był łatwo otoczyć się ascetami, zagładzającymi się na śmierć i przerażającymi ludzi dziwnymi objawami ekstazy. Ale Jego Apostołowie byli robotnikami, rybakami i grzesznikami, o których mówiono głównie z powodu pomijania przez nich większości zawiłych pobożnych praktyk, urzędowych przepisów i moralnych gimnastyk ówczesnych zawodowych świętych.

Wiele osób pobożnych i głoszących, że kochają Boga, nienawidzi i lęka się ubóstwa, jeśli jest na tyle rzeczywiste, że oznacza naprawdę niepewność, głód i brud.

Czemuż tak mała liczba staje się biednymi z miłości, ażeby w ubóstwie odnaleźć Boga i móc dawać Go bliźnim?

Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że nikt nie dojdzie do kontemplacji, jeżeli całe jego życie nie będzie upływać w brzy-

docie i nędzy. Żyć pracowicie i wstrzemięźliwie, polegając na Bogu, a nie na dobrach materialnych, których już nie posiadamy; starać się usilnie o dobre stosunki z ludźmi, którzy, być może, nie okazują nam zawsze należnej życzliwości i poszanowania — to wszystko właśnie raczej pomnaża atmosferę pokoju i pogody, radości i zadowolenia. Można też znajdować w tym pewien wdzięk i rzeczywiście prostota takiego życia w pracy i ubóstwie ma niekiedy więcej uroku od wyrafinowanej egzystencji ludzi, którym się zdaje, że za pieniądze mogą kupić piękność, otaczając się ładnymi przedmiotami. Ktokolwiek był w domu francuskiego albo włoskiego chłopa, mógł się o tym łatwo przekonać.

Życie w klasztorach trapistów jest zasadniczo podobne do życia chłopskiego. A im bliższe jest ubóstwu, prostocie i wstrzęmięźliwości wszystkich tych, którzy własną pracą muszą wydobywać z ziemi środki swego utrzymania, tym lepiej służy swemu istotnemu celowi, to jest przygotowaniu ludzi do życia kontemplacyjnego.

Dla zakonu dobrze jest być biednym. Dobrze jest, jeśli mnisi muszą się zadowalać znoszonym i połatanym habitem, gorszą strawą niż na to pozwala Reguła i polegać raczej na swoim kawałku pola niż na ofiarach mszalnych albo na darowiznach dobroczyńców. Ale jest granica, której ubóstwo klasztorne nie powinno przekraczać. Skrajna nędza jest tak samo szkodliwa dla mnichów, jak dla każdego człowieka. Nie możesz prowadzić życia kontemplacyjnego, jeżeli bez przesady przymierasz głodem. I chociaż ubóstwo jest dobre dla klasztoru, to jednak przeciętny mnich nie będzie robił postępów w życiu duchowym w domu, gdzie nędza byłaby naprawdę tak rozpaczliwa, żeby trzeba wszystko inne poświęcać trosce o byt materialny.

Zdarza się często, że stary brat, spędziwszy całe życie na robieniu serów, pieczeniu chleba, naprawianiu butów albo poganianiu wołów, jest bliższy świętości i stoi na wyższym stopniu modlitwy mistycznej niż ksiądz, który pochłonął całą Biblię i teologię, zna dzieła wielkich świętych i mistyków i miał wiele więcej czasu na rozmyślanie, modlitwę i kontemplację.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się musisz nauczyć, chcąc prowadzić życie kontemplacyjne, jest niechęć do wdawania się w cudze sprawy.

U człowieka, który zdaje się być świętym, nic nie jest tak podejrzane jak niecierpliwe pragnienie naprawiania innych. Mania prowadzenia tych, co nie zostali ci bezpośrednio powierzeni, ulepszania tych, których nikt ci nie kazał poprawiać i napominania ludzi, nad którymi nie sprawiasz żadnej władzy, jest poważną przeszkodą do skupienia. Jak możesz zajmować się tym wszystkim i zachować przy tym spokój myśli? Zwracaj możliwie jak najmniej uwagi na wady innych ludzi, a już żadnej na ich przyrodzone dziwactwa i braki.

Powstrzymywać się od oczywistych grzechów, unikać postępków, które są bezspornie złe, bo poniżają naszą naturę i przynoszą nam wstyd i hańbę, spełniać uczynki otoczone ogólnym szacunkiem, gdyż żąda ich nasza godność jako istot ludzkich — to wszystko nie jest jeszcze świętością, ale prawgrzechu i ćwiczyć się w cnotach; to być nie świętym, ale prawdziwym człowiekiem, ludzką istotą. To dopiero początek tego, czego Bóg żąda od ciebie. Ale to jest początek konieczny, bo nie możesz osiągnąć doskonałości nadprzyrodzonej, jeżeli pierwej nie udoskonalisz twej natury na jej własnym poziomie. Zanim zostaniesz świętym, musisz stać się naprawdę człowiekiem.

Pozbycie się wad, które rozpoznajemy jako takie, jest jednak stosunkowo łatwe — chociaż i to może być czasem niezmiernie ciężkie. Ale węzłowym zagadnieniem doskonałości i czystości wewnętrznej jest wyrzeczenie się i wykorzenienie z siebie wszystkich naszych nieuświadomionych przywiązań do świata stworzeń i do naszych własnych pragnień i woli.

Najlepszą — jeśli nie jedyną — drogą do zwalczania dobrowolnych i oczywistych wad i nałogów jest planowa strategia postanowień i umartwień. Robisz plan walki i wykonujesz go, przekształcając go na nowo zależnie od zmian w rozwoju bitwy. Modlisz się, cierpisz, nie ustępujesz i dajesz za wygraną, jesteś znów pełen nadziei i trudzisz się w pocie czoła, aż z kolejnych przeobrażeń tej walki wytworzy się kształt twej wolności.

A kiedy walka się kończy i osiągniesz dobrą sprawność w tej pracy nad sobą, nie zapominaj o tych okresach bitwy, gdy byłeś ranny, bezsilny i rozbrojony. Nie zapominaj, iż pomimo wszystkich twych wysiłków, wygrałeś tylko dlatego, że Bóg za ciebie walczył w twej duszy.

Kiedy jednak przychodzi do wytępienia tych głęboko ukrytych i nieświadomych przywiązań, które ledwo możemy wy-

dobyć na wierzch i rozpoznać w sobie, wszystkie rachunki sumienia, rozmyślania, decyzje i plany kampanii mogą się nie tylko okazać nieskuteczne, ale nawet pomagać nieprzyjacielowi. Bo może się łatwo zdarzyć, że nasze pozornie dobre postanowienia zostaną podyktowane przez wadę, której się chcemy pozbyć. I tak, człowiek pyszny postanawia sobie surowiej pościć i karcić swoje ciało, gdyż chce się poczuć siłaczem; jego posty i pokuty zostają mu narzucone przez próżność i wówczas zasilają tylko zło, które najbardziej powinien w sobie zabijać.

Kiedy człowiek jest już na tyle cnotliwym, że może mieć złudzenie własnej doskonałości, popada łatwo w niebezpieczny stan ślepoty, w którym wszystkie gwałtowne wysiłki, dążące do osiągnięcia świętości, zasilają tylko jego ukryte błędy i utwierdzają go w przywiązaniu do własnej woli i własnego sądu.

W tym przezwyciężaniu utajonych przywiązań — których nie możemy dostrzec, gdyż one to są właśnie przyczyną naszej ślepoty — nasze własne wysiłki są prawie zawsze bezowocne. Musimy tu pozostawić inicjatywę w ręku Boga, działającego w naszych duszach albo bezpośrednio w nocy oschłości i cierpienia, albo poprzez innych ludzi i zewnętrzne okoliczności. Na tym punkcie wiele świątobliwych osób utyka i załamuje się na dobre. Z chwilą, kiedy doszły do punktu, w którym już nie mogą widzieć drogi przed sobą i kierować się własnym światłem, nie chcą już w ogóle iść naprzód. Nie mają zaufania do nikogo prócz siebie. Ich wiara jest w dużej mierze uczuciowym złudzeniem. Jest ona zakorzeniona w ich wzruszeniach, w ich strukturze fizycznej, w ich temperamencie. Jest to rodzaj przyrodzonego optymizmu, popartego moralną potrzebą działania i podniecanego uznaniem innych ludzi. A jeśli ktoś z zewnątrz jej się przeciwstawi, wiara tego rodzaju znajdzie zawsze obronę w zadowoleniu z samej siebie.

Ale kiedy przychodzi czas na wejście w ciemność, gdzie czujemy się nadzy, bezradni i samotni; gdzie stwierdzamy niedostateczność naszych najpotężniejszych sił i daremność naszych najszczytniejszych cnót i nie znajdujemy nic własnego, na czym moglibyśmy się oprzeć, nic w naszej naturze, co mogłoby nas podtrzymać i nic w całym świecie, co mogłoby nam stać się wskazówką i udzielić nam światła — wtedy dopiero możemy się przekonać, czy naprawdę żyjemy wiarą.

I w tej ciemności, kiedy nie pozostaje już nic, co by się umysłowi naszemu mogło podobać albo być mu pociechą, kiedy zdajemy się być bezużyteczni i godni wszelkiej pogardy i mamy wrażenie, że jesteśmy do dna przeżarci i wyniszczeni, nasza dusza zostaje w końcu odarta z tego głębokiego, utajonego egoizmu, który był tak blisko nas, że nie mogliśmy sami go wykryć i zidentyfikować. W tej ciemności odnajdujemy wolność. W tym opuszczeniu rośniemy w siłę. To jest noc, która nas ogołaca i oczyszcza.

Nie szukaj trwałego spokoju w używaniu jakichkolwiek przyjemności, bo do żadnej z nich nie zostałeś stworzony: zostałeś stworzony do radości duchowej. A jeśli nie dostrzegasz różnicy między tymi dwoma uczuciami, nie zacząłeś jeszcze w ogóle istnieć.

Życie na tym świecie jest pełne cierpienia. Ale cierpienie, będące przeciwieństwem rozkoszy, nie jest koniecznie przeciwieństwem szczęścia albo radości. Bo radość duchowa rozkwita w pełnym rozwoju wolności, dosięgającej bez przeszkód swego najwyższego celu i znajdującej swoją pełnię w doskonałym działaniu bezinteresownej miłości, dla której została stworzona.

Wszelka przyjemność, będąc samolubną, cierpi z powodu wszystkiego, co pozbawia ją jakiejś części dobra, którego chcemy sami używać. Ale niesamolubna radość może doznać uszczerbku jedynie od egoizmu. Ból i cierpienie ograniczają i zabijają uczucie przyjemności. Ale radość duchowa nie zważa na cierpienie i nic sobie z niego nie robi, albo nawet je wyzyskuje dla uwolnienia się od najgroźniejszej dla niej przeszkody, to jest od samolubstwa.

Prawdziwą radość znajdujemy w doskonałym pragnieniu tego, czego powinniśmy chcieć zgodnie z celem, dla którego zostaliśmy stworzeni: w uległym, wytężonym a jednak swobodnym działaniu woli, cieszącej się dobrem — nie tylko tym, co dobre dla nas, ale Dobrem samym w sobie.

Niekiedy przyjemność może być śmiercią radości, dlatego ten, kto zaznał prawdziwego szczęścia, odnosi się podejrzliwie do rozkoszy. Ale żaden z tych, co zapoznali się z prawdziwą radością, nie boi się cierpienia, bo wie, że ono może się stać dla niego jeszcze jedną sposobnością do potwierdzenia — i zakosztowania — istotnej wolności.

Nie sądź jednak, że radość wywraca naturalny porządek rzeczy i szuka rozkoszy w cierpieniu. Radość, o ile jest prawdziwa, jest ponad cierpieniem i nawet go nie odczuwa. Dlatego śmieje się z niego i cieszy się z jego klęski. Jest zwycięstwem, odniesionym nad cierpieniem przez bezinteresowność, wyzucie się z egoizmu i przez doskonałą miłość.

Ból nie dotyka tej najwyższej radości, chyba żeby ją jeszcze bardziej oczyścić przez potwierdzenie niezależności duszy od zmysłów, wrażeń i miłości własnej i wyciągnięcie wyswobodzonej od nich woli w sferę czystej wolności, ponad poziom cierpienia.

Jest to więc bardzo smutne, kiedy mistycy nie szukają w kontemplacji czegoś nieskończenie większego od choćby najszczytniejszych przyjemności. Bo wówczas wyczerpują się i tracą czas na szkodliwych zabiegach, ażeby uniknąć oschłości, trudów i cierpienia — jak gdyby one były czymś złym. Wyzbywają się pokoju — a szukając w modlitwie własnej rozkoszy stają się niezdolni do prawdziwej radości.

Niestałość i niezdecydowanie są zazwyczaj oznaką miłości własnej.

Jeżeli nigdy nie zdajesz sobie jasno sprawy, czego Bóg żąda od ciebie, tylko ciągle zmieniasz zdania, obierasz najróżnorodniejsze metody i przechodzisz od jednych nabożeństw do innych pobożnych praktyk — może to być wskazówką, że chcesz obejść wolę Boga i ze spokojnym sumieniem iść za swoją własną.

Gdy tylko Bóg cię umieści w jednym klasztorze, pragniesz się przenieść do innego.

Wkrótce nie będziesz miał żadnego życia wewnętrznego. Całe twoje istnienie będzie łataniną z nieokreślonych pragnień, zachcianek i snów na jawie, których jedynym skutkiem będzie udaremnienie wpływu łaski. Bo to wszystko jest tylko wypracowanym, podświadomym fortelem twojej natury, ażeby przeciwstawić się Bogu, Którego działanie w twej duszy wymaga ofiary z wszystkich twoich pragnień i upodobań, a właściwie z całej twojej istoty.

Lepiej więc trwaj w spokoju i pozwól Mu pracować w swej duszy.

Tomasz Merton
tłum. Maria Morstin-Górska

JERZY ZAWIEYSKI

LAMENT ORESTESA

Osoby:
ORESTES
ELEKTRA
HELENA
MENELAUS
PYLADES
TYNDAREOS
HERMIONA
ERYNIE

Pałac w Argos. Jedna z sal królewskich. Kolumny i posągi. W głębi na niskim posłaniu śpi ORESTES, przy którym czuwa siostra jego ELEKTRA. Jest pora przedpołudniowa. Z zewnątrz dochodzi muzyka i śpiew, raz po raz odzywają się okrzyki zbiorowe.

ELEKTRA z niepokojem reaguje na głosy ze świata. W pewnej chwili pojawia się HELENA, piękna, wiecznie piękna i młoda bohaterka wojny trojańskiej.

Scena I

HELENA

Elektro!

ELEKTRA

(kładzie palec na ustach i wskazuje śpiącego Orestesa)

Śpi.

HELENA

(przygląda się Orestesowi)

Śpi. Przypomina Parysa. Ma podobne czoło, jasne i rozumne. Jedna brew uniesiona wyżej wyraża zdziwienie. Czemu się może dziwić Orestes? Nie wiesz?

ELEKTRA

Nie wiem.

HELENA

Zapewne temu, że mógł zabić ich oboje: matkę i jej kochanka. Piękny jest twój brat, Orestes. Można by też o nim powiedzieć: niewinny. Niewinny morderca.

ELEKTRA

Orestes jest niewinny.

HELENA

Tak, Elektro. Wygląda, jak znużony zawodnik po biegu olimpijskim. Lub jak pilny uczeń, który po przebudzeniu zawoła, by mu dano jeść i nim pójdzie na wykłady jeszcze raz przypomni sobie, co mu zadano z astronomii i z gramatyki. Zawsze mnie to dziwiło, że pomiędzy wyglądem człowieka a jego czynami zachodzi sprzeczność. Menelaus twierdzi, że czyny pochodzą nie od nas lecz od bogów. Co o tym sądzisz, Elektro?

ELEKTRA

Ten czyn pochodzi ode mnie.

HELENA

Ty byłaś tylko narzędziem. Być narzędziem to chyba najważniejsze, co mamy do spełnienia.

ELEKTRA

Chciałam, by ich zabił. Czekałam na niego przez wiele lat. Czy wiesz, co robiłam tutaj w pałacu? Jako mała dziewczynka byłam przydzielona do służby w chlewni. A później, gdy dorosłam, zrobiono ze mnie praczkę. Prałam brudną bieliznę Klitajmnestry i Egista. Na ich bieliźnie nigdy nie zmyła się krew mojego ojca Agamemnona, którego zamordowali. Prałam, śpiewając pieśni o zemście, o wiarołomnej matce-zabójczyni i o bracie-mścicielu. Tak samo śpiewał lud argiwski przy pracy, w polu. Nie wiem, ile lat upłynęło, ile miesięcy, ile dni, ile nocy, gdy czekałam na zemstę.

HELENA

Tak kochałaś swego ojca Agamemnona?

ELEKTRA

Tak nienawidziłam matki Klitajmnestry i jej kochanka Egista! Bali się mnie i nie patrzyli mi nigdy w oczy. Mówili do mnie: zła Elektro! podła córko! — żmijo! Byłam żmiją, rojowiskiem żmij, syczałam, jak one — z bólu i z nienawiści! Ale nie mogłam ich zabić, chociaż mam ręce mocne, twarde od roboty. Zabić i pomścić króla Agamemnona mógł tylko syn, tylko Orestes, mój nieznany brat, oddany w niemowlęctwie do obcych ludzi w Atenach.

HELENA

(patrząc na Orestesa)

Ma ręce delikatne i drobne, jak kobieta. Zdaje się, że trzeba wielkiej siły, aby człowiek zabił człowieka? Menelaus bawił nas kiedyś ponurą opowieścią o krajach, które zwiedzał po wojnie trojańskiej. Podobno są tam niewidzialne muchy, od których się ginie. Taka mucha, to największa złośliwość bogów. Dobrze, że nasz Olimp zamieszkują bogowie, pełni prawdziwie boskiej łagodności i wyrozumienia dla ludzi. — Ładne są ręce Orestesa.

ELEKTRA

Nie myśl, że był on gotów, by zabić ich oboje. Zabiła ich moja nienawiść rękoma Orestesa. Zjawił się, jako podróżny, jako cudzoziemiec i nie odrazu go poznałam. A później — długo, przez dzień i przez noc wsączałam w niego nienawiść do morderców naszego ojca. Były chwile, że wątpiłam, czy Orestes będzie zdolny ich zabić? Przyszedł z poetą, przyjacielem Pyladesem, i nie wiedział, że w Argos, w pałacu Atrydów, musi dokonać czynu, który go początkowo przeraził.

HELENA

Przeraził?

ELEKTRA

Tak. Spadło to na niego nagle. O takich rzeczach słyszał tylko w pieśniach i w poezji swego przyjaciela, Pyladesa. Byłam zła, gdy mi się z tego zwierzył. Wydał mi się zniewieściały, nie godny swego królewskiego przeznaczenia. Mówił, że zwiedza obce kraje dla studiów i dla wrażeń. Że do Argos przywiodła go poetycka legenda o nieszczęsnym rodzie Atrydów. Czy słyszysz, Heleno? Przywiodła go „poetycka legenda". Na szczęście spotkał przed pałacem brudną dziewkę, królewnę, która rozwiała uroki tej legendy. Czy nie szedł tutaj za natchnieniem bogów? Czy nie dlatego spotkałam go na drodze, aby tajnym wejściem, którego nikt nie strzeże, wprowadzić do pałacu? Teraz już koniec legendzie, o której śpiewają poeci.

(jęk Orestesa)

HELENA

Orestes się budzi. Zdaje się, że mówi coś przez sen?

ELEKTRA

Męczą go Erynie. Walczył z nimi całą noc i cały poprzedni dzień. Niech śpi. Niech odpoczywa. Widziałam, jak zabijał Egista. Wystarczył jeden cios. Ale nie mogłam patrzeć na śmierć Klitajmnestry.

HELENA

Proszę cię, Elektro, złóż ofiarę w moim imieniu na grobie swojej matki. Weź ten pukiel włosów, weź wina i miodu i odśpiewaj pieśni pobożne, należne umarłym.

ELEKTRA

Ja? Na jej grobie?

(słychać okrzyki tłumu)

HELENA

Słyszysz ich wzburzenie. Nie chcę się im pokazywać w obawie przed napaściami. Nie miła im jest wizyta króla Menelausa i królowej Heleny. Jest to nienawiść polityczna, wymierzona przeciw Sparcie. Myślą, że przyjechaliśmy tutaj, by zająć tron po Egiście i Klitajmnestrze. Złóż ofiarę, Elektro. Po to tutaj przybyliśmy, do tego dzikiego kraju.

ELEKTRA

Jeszcze niedawno rozwaliłabym kamienie na ich grobie, aby ciała pożarły sępy i kruki. Nie mam na nic sił, Heleno, — nie pójdę nigdzie, czuwam tutaj, przy śpiącym Orestesie.

HELENA

Hermiona jest jeszcze za młoda, by poszła z ofiarą do umarłych. A Menelaus od rana uczestniczy w zgromadzeniu ludowym i stara się obronić Orestesa. Więc nie pójdziesz?

ELEKTRA

Nie.

HELENA

Z okien pałacu widać tłumy, ucztujące na grobie nieszczęsnej pary królewskiej. Czy bardzo ich kochali?

ELEKTRA

Nie.

HELENA

Czy płaczą po nich?

ELEKTRA

Nie.

HELENA

Cała Elektra w przeczeniach. Zdania przeczące zamykają drogę do świata.

ELEKTRA

Co teraz będzie, Heleno? Nie mogę o to zapytać Orestesa, bo prześladują go Erynie. Jest chory. Powiedział wczoraj, że zabijając ich oboje, zabił swoją duszę. Czy rozumiesz to, Heleno? Zabił swoją duszę...

HELENA

Rozumiem. I widzę go, niejako od wewnątrz, tak, jak się widzi wnętrze domu przez szybę.

ELEKTRA

Co widzisz?

HELENA

Widzę wielką górę na białym polu, jak śnieg. Widzę też głaz, który przywalił wątły krzew róży. Reszta, to milczenie. Tajemnica.

(jęk Orestesa)

Budzi się? Mówi coś szeptem przez sen. Mówi słowa, pomieszane ze snami. Nie chcę widzieć snów Orestesa.

ELEKTRA

Orestes jest niewinny. To ja mu kazałam ich zabić. Nie tyle nawet ja, ile Agamemnon, którego dusza zamieszkała we mnie. Bo we mnie, Heleno, zamieszkał ojciec i domagał się zemsty na zbrodniarzach. Jego głos mówił przez moje usta, gdy namawiałam Orestesa, by wymierzył sprawiedliwość zamordowanemu królowi. To nie była zbrodnia, Heleno, to był czyn sprawiedliwy. Byłam głosem prawa, a on, Orestes, ręką karzącą.

HELENA

To wszystko?

ELEKTRA

Po matce odziedziczyłam żądzę krwi. Mówiła o mnie „krwiożercza wilczyco", albo „suko" — i biła mnie po twarzy. Wyrosłam na dziewkę, chociaż jestem królewną, córką wielkiego króla Argos, bohatera spod Troi.

HELENA

Nie mogę słuchać o bohaterach. Poznałam ich dobrze, po tej i po tamtej stronie, gdy toczyła się wojna trojańska. Lubię ludzi zwykłych i prostych. Piękny jest twój brat, Orestes. I przypomina Parysa.

ELEKTRA

Nie mogę się nadziwić, że to mój brat, wytęskniony Orestes, mściciel

mego ojca. Zdaje się, że pierwszy raz widział krew. O mało nie zemdlał. Jest wrażliwy, jak kobieta. Nie takiego oczekiwałam w swoich snach.

HELENA

Naturalnie. Zwykła kolej rzeczy i zwykła rozbieżność pomiędzy snem a rzeczywistością.

ELEKTRA

Co teraz będzie, Heleno? Co teraz będzie? Umilkł we mnie głos Agamemnona. Ucichła zemsta. Znikła nienawiść. Pusto. Czuję chłód, a serce moje jest jakby z lodu. Wydaje mi się, że nie ma już Elektry, krwiożerczej wilczycy. Nie znam siebie. I nie wiem, co będzie? Co będzie?

HELENA

Krwiożercza wilczyca stała się bezbronnym jagnięciem. Nie należy pytać, co będzie? Ukochać bierność — to wszystko. Jesteś piłką, Elektro, którą rzuca kapryśnie kto inny. Należy patrzeć na siebie, jakby przez zamgloną lustrzaną szybę.

ELEKTRA

Gniecie mnie cisza, jaka jest we mnie. Zimno mi. Od ciebie także idzie zimno! Masz oczy z zimnego srebra i ręce jakby ze szkła. Cóż w tobie widzieli mężczyźni, że tak cię kochali? Cała wielka wojna toczyła się o ciebie. Brali w niej udział bogowie. Poruszyłaś ziemię i Olimp. Co w tobie widzieli, Heleno?

HELENA

Co widzieli? Zgodę na świat taki, jak on jest, i zgodę na wszelki los. Może też widzieli, że jestem piękna? Piękno wnosi niepokój w sztywny ład świata. Każdy chce je mieć, każdy chce je posiąść. Byłam zdobywana, jak się zdobywa twierdzę. Ale cóż z tego, Elektro? Nie jestem do zdobycia, chociaż można było mnie mieć. Można kochać tylko to, co przynosi pokój. Lubię rzeczy zwykłe i proste. Lubię Menelausa, mego męża, ponieważ jest on pozbawiony wyobraźni. Czy cię to dziwi?

ELEKTRA

Nie rozumiem.

HELENA

To i lepiej. Nie wszystko należy rozumieć. Nie należy też zadawać pytań: co będzie? Najpiękniejsza jest zgoda na los.

ELEKTRA

Czasami myślę, że jesteś Erynią. Przy tobie chce mi się płakać, chce mi się wyć, chociaż już nie jestem wilczycą. Boli mnie cisza we mnie i ziębi pustka. Czy jesteś Erynią?

HELENA

Zapytaj o to swego brata Orestesa, lub jego przyjaciela Pyladesa. Najlepsze świadectwo i najprawdziwsze dają o mnie tylko mężczyźni. Nawet twój brat, który walczy tak ciężko z Eryniami, dostrzegł we mnie kobietę. Powiedział dwa razy: Heleno! Było w tym więcej niż wyznanie.

ELEKTRA

Nie słyszałam nigdy słów o miłości.

HELENA

Widzę tego, który ci o tym powie. Nasycisz się miłością dowoli, gdy zgodzisz się na swój los. — To Pylades.

ELEKTRA

Mój los, to Pylades?

HELENA

Twój los i los Orestesa rozstrzyga się teraz w zgromadzeniu ludowym. Menelaus jest mężny, ale czy was obroni?

(słychać wrzawę za oknami)

(wchodzi HERMIONA)

Scena II

HERMIONA

Boję się być sama, mamo. Tutaj straszy. Może to duchy Egista i Klitajmnestry? Przed pałacem tłumy ludzi, a w salach, chociaż pusto, słychać jakieś szepty. Mówiła mi już w Sparcie moja niańka, że kolumny tego pałacu to zaklęci półbogowie, którzy niekiedy opuszczają swoje miejsca i wędrują. Czy możesz to sobie wyobrazić? — Wędrujące kolumny! Podobno tańczą one w godzinie, gdy Egist i Klitajmnestra zamordowali Agamemnona. Czy to prawda?

HELENA

Zapytaj o to Elektry.

HERMIONA

Czy to prawda Elektro?

ELEKTRA

Każdy kamień tego pałacu ocieka krwią Agamemnona.

HELENA

Krew i krwiożerczość — to mania prześladowcza Elektry. Nie bój się, Hermiono. Nic tu nie straszy. Kolumny nie wędrują, ani nie tańczą. Podaj mi koszyczek z robótką. Jest tam pod oknem.

HERMIONA
(spełnia polecenie Heleny)

HELENA
Przepowiadają ostrą zimę w tym roku. Trzeba myśleć o ubogich i narobić im trykotów.

(jęk Orestesa)

HERMIONA
Co to, mamo?

HELENA
To Orestes. Walczy z Eryniami we śnie.

HERMIONA
(przygląda się Orestesowi

Nie widziałam jeszcze człowieka, który zabił swoją matkę. Tego mu pewno bogowie nie darują.

ELEKTRA
To zabójstwo jest miłe bogom. Musiała się spełnić sprawiedliwość.

HERMIONA
Co to jest sprawiedliwość?

HELENA
Sprawiedliwość — to bogini z zawiązanymi oczyma, której spadła z głowy korona. W jednej ręce trzyma wagę, w drugiej — miecz. Przyjrzyj się dobrze Orestesowi, Hermiono.

HERMIONA
Jest piękny, jak moja lalka, którą ojciec przywiózł z Indii. Gdyby mu włożyć hełm z pióropuszem, przypominałby Apollina. — Nie patrz tak na mnie, Elektro, nic mu nie zrobię.

ELEKTRA
Zbudzisz go. Niech śpi. Niech odpoczywa, mój ukochany.

HERMIONA
Tutaj coś się dzieje, mamo, chociaż jest tak cicho. Jeśli bogowie zażądali, by Orestes zabił?

HELENA
Dzieją się wielkie rzeczy, Hermiono, mimo, że jest tu tak cicho. Orestes śpi, przy nim czuwa wierna siostra Elektra. Tylko nazewnątrz pałacu, w mieście i w zgromadzeniu ludowym szaleje głupota. Głupota to jedna

z tajemnic. Jest bezdenna i bez granic. Jest nieobliczalna. Ale wielkie rzeczy dzieją się tutaj, w tej sali, — nie tam. Przypatrz się Elektrze, Hermiono, przypatrz się Orestesowi. Jeszcze chwila, nim ruszy góra na polu białym jak śnieg i nim poruszy się głaz, który przywalił wątły krzew róży.

HERMIONA

To jest widzenie?

HELENA

Widzenie.

ELEKTRA

Masz oczy jak woda i mówisz jak przez sen. Masz duszę Erynii, Heleno, i nie zwiedziesz mnie, mimo że robisz, jak w tej chwili, trykoty dla ubogich.

HERMIONA

Nie obrażaj mojej matki! Jest ona królową, najpiękniejszą na ziemi. Bogowie postanowili, że nigdy nie będzie stara, ani brzydka. Erynie to potwory. Czy moja matka jest potworem?

HELENA

Pozwól, Hermiono. Niech mówi.

ELEKTRA

Odeszła ode mnie dusza Agamemnona, która mnie żywiła zemstą. Pomszczony ojciec i król odpłynął w głębie Hadesu. Zginęli zabójcy, a nad ich grobem szaleje głupota tłumu. Bo nie kochali ich, więc po nich nie płaczą. Dlaczego szaleją? Dlaczego wyją?

HELENA

To jedna strona tych wielkich rzeczy, jakie tu nastąpią. Ale nie najważniejsza.

ELEKTRA

Teraz powinno rozpocząć się życie, gdy już po wszystkim. Jestem córką wielkiego króla, a on, Orestes, następcą na tronie swego ojca. Powinno rozpocząć się życie. Ale nie wiem, co to jest życie? Jestem głodna życia i mogłabym je kochać, dzień po dniu, tak jak je kocha każda młoda dziewczyna. Chciałabym żyć, bo już skończyła się moja noc i nastał dzień.

HELENA

Żyć?

ELEKTRA

Żyć! Ale tego nie zrozumiesz, Heleno, bo nie jesteś zwykłą kobietą.

Masz oczy ze szkła i z wody, jesteś senna i daleka, jakby cię nie było w tym miejscu, w którym być powinnaś. Chcę żyć!

HELENA

Rozumiem. To jest ta druga strona wielkich rzeczy, jakie tu nastąpią. I to ta najważniejsza.

HERMIONA

Słychać czyjeś kroki. Ktoś idzie.

HELENA

To Pylades. Dobry los Elektry. Przychodzi w samą porę.

Scena III

(wchodzi PYLADES)

HELENA

Przychodzisz w samą porę, Pyladesie. Elektra chce żyć.

PYLADES

W zgromadzeniu ludowym za chwilę zapadnie wyrok. Wracam stamtąd. Mam głowę pełną krzyków i hałasu.

ELEKTRA

Czy żądali śmierci dla mnie i dla Orestesa?

PYLADES

Tak, Elektro. Żądali waszej śmierci.

ELEKTRA

Jakże to? Lud argiwski nienawidził Klitajmnestry i Egista. W każdej chacie czaiła się zemsta, która czekała chwili sposobnej. Lud przeklinał krwawo kupione szczęście tyrana Egistosa. W święta umarłych błagano Agamemnona, aby przyszedł mściciel jego krwi. Gdy się pokazywałam na ulicach miasta, otaczali mnie z płaczem i mówili: nieszczęsna królewno, nie zapomnij o zemście! — Więc, mówisz Pyladesie, — żądają śmierci?

PYLADES

Żądają śmierci. Broni was Menelaus. Ale ma ciężką przeprawę, bo oskarża was Tyndareos, ojciec Klitajmnestry. Nade wszystko jednak oskarżają wodzowie argiwskiego ludu.

HELENA

Śmierci nie będzie, Elektro. Będą rzeczy trudniejsze niż śmierć. Nim przyszedł Pylades, mówiłaś o życiu. Chciałabyś je kochać dzień po dniu, tak, jak kocha je każda młoda dziewczyna, jak Hermiona na przykład.

HERMIONA

O, tak. Kocham życie. Kocham je, gdy się budzę ze snu i patrzę w okna, aby zobaczyć jaka jest pogoda? Lubię nie tylko słońce i wieczną wiosnę naszego kraju. Lubię też deszcz, niebo z ciemnymi chmurami, smutną słotę. Lubię też to, co jest brzydkie i nieporadne. Na przykład: ropuchy, lub kaczki domowe.

HELENA

Dość, Hermiono!

PYLADES

Gdy szedłem do pałacu, porwał się z krzewu pomarańczy rój motyli. Jeden z nich spadł mi na rękaw. Był cały rdzawy, na skrzydłach miał czarne pręciki. Taki sam, Elektro, usiadł na ramieniu Orestesa, gdy przed miesiącem szliśmy drogą, w stronę tego pałacu. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że Orestes spotka ciebie i że później zabije ich oboje.

ELEKTRA

Ja oddychałam tylko zemstą i krwią, a Orestes zbierał słodycze życia. Zapewne nie strząsnął z ramienia tego motyla w obawie, by mu nie uszkodzić skrzydełek? I zapewne szedł w tę stronę upojony zmierzchem gorącego dnia, zasłuchany w twoje poetyckie legendy o pałacu Atrydów?

PYLADES

Tak, Elektro. Dzień już się skończył. Popołudniu padał drobny deszcz i na wschodniej stronie nieba pojawiła się tęcza. Patrzyliśmy na nią z zachwytem. Minęli nas jacyś dwaj roześmiani chłopcy i pozdrowili uprzejmie cudzoziemców. Później spotkaliśmy ciebie.

ELEKTRA

Tęcza i motyle, roześmiani chłopcy i brudna dziewczyna, która wyszła z pałacu przed zachodem słońca. Co to ma znaczyć, Pyladesie?

PYLADES

To może nic nie znaczyć. To może jedynie dziwić, jeśli się spojrzy na to, co było, z odległości czasu.

HELENA

Tęcza i motyl. Elektro, oznacza to samo co zabicie Egista i Klitajmnestry. Nie wiemy nic o związkach, jakie zachodzą między tak odległymi rzeczami. Mówiłam ci już, że najpiękniejsza jest zgoda na los.

ELEKTRA

To dziwne, że są rzeczy tak proste, — jak słońce, lub deszcz, — jak uśmiech chłopców, którzy mijają podróżnych, — jak tęcza na niebie, lub rdzawy motyl, który spada na ramię cudzoziemca.

PYLADES

Gdy już będzie po wszystkim, zobaczysz, Elektro, jak pięknym darem bogów jest życie. Będę cię uczył życia, abyś stała się jak każda dziewczyna. Czy nie porusza cię tych dwu, którzy szli i ozdabiali świat radością swoich serc? W miastach i krajach, poznanych przez nas z Orestesem, tętni serce życia. Poznaliśmy pewien piękny kraj, który się nazywa: Arkadia. Ludzie w słonecznej Arkadii kochają siebie i kochają drugich. Od świtu do zmierzchu przez świat idzie radość i śmiech. Każdy chłopiec, który obejmuje dziewczynę, obejmuje miłością świat. W środku ziemi zapalili bogowie wieczny żar miłości, która przenika serca ludzi. Na ciebie, Elektro, czeka też twoja miłość i twoje szczęście.

ELEKTRA

Na mnie? Co to jest miłość? Co to jest szczęście?

HERMIONA

Ja wiem. Miłość — to ślepa strzała Erosa. Gdy cię ugodzi, Elektro, będziesz czuła ból. Ludzie nazywają to szczęściem.

HELENA

Nie wierz jej, Elektro. Miłość — to pożądanie, by dwoje było jednem. Ale to niemożliwe. Złudzenie chwil, które mówią, że tak może być, — nazywa się szczęściem. Jest ono muśnięciem dobrego boga Apollina, który wtedy płacze.

ELEKTRA

To bardzo piękne i smutne.

PYLADES

Miłość jest zawsze piękna i smutna. Zbudź się, Elektro. Masz oczy, w których jest mrok Atrydów, ale gdy zechcesz, będą one chciwie szukały muśnięcia Apollina. Niech w nich będzie błysk obietnicy, która da twoje czyste usta wybranemu. Och, Elektro, twoje usta, nawykłe do przekleństw, do słów zemsty i krwi, mogą poznać słodycz słów czułych i tkliwych, od których zamiera serce.

HELENA

Powiedz po prostu, Pyladesie: kocham cię, Elektro.
Lub: będę cię kochał, Elektro.

HERMIONA

Ale ona nie wie, co to znaczy kochać.

ELEKTRA

Zdaje się, że zaczynam rozumieć, Pyladesie. Chciałabym żyć. Czy żyć oznacza kochać?

PYLADES

Tak, Elektro. Jedno i drugie jest tym samym. Gdy już będzie po wszystkim, zobaczysz, jak wielkim darem bogów jest życie. Pojedziemy do Arkadii.

ELEKTRA

Przyniosłeś zapowiedź, że tam, w zgromadzeniu, żądają śmierci dla mnie i dla Orestesa.

HELENA

Śmierci nie będzie. Spójrzcie, — Orestes się budzi.

ELEKTRA

Budzi się. Jestem przy tobie. Orestesie.

(Orestes dźwiga się z posłania)

HELENA

Nie należy być świadkiem rzeczy niemiłych. Chodźmy, Hermiono. Wyjdziemy na przeciw Menelausa.

(Odchodzą).

Scena IV

ELEKTRA

To ja, Eelektra, Orestesie. Czy mnie poznajesz? A to Pylades, z którym przyszedłeś do Argos. Jesteś w Argos, królewiczu, w domu swego ojca, króla Agamemnona. Czuwałam przy tobie całą noc, ale nie mogłam odpędzić Erynii. Wczoraj przed snem uśmiechnąłeś się do mnie i powiedziałeś: dobra jesteś, Elektro. Uśmiechnij się teraz. Poznajesz mnie?

ORESTES

Poznaję cię. Poznaję Pyladesa. Witaj, przyjacielu. Najgorsze jest przebudzenie i powrót do tego, co się stało. Muszę na nowo zbierać fakty i na nowo je przeżywać. Niech ci, Elektro, zaświadczy Pylades, że nigdy nie umiałem daleko rzucać dyskiem, ani oszczepem. Jestem słaby w ramionach i mam ręce jak z wosku. A jednak zabiłem.

(nagły niepokój Orestesa).

Odejdźcie. Oddalcie się. Już są.

(ELEKTRA i PYLADES stają na uboczu).

(Pojawiają się trzy Erynie).

Scena V

ERYNIE

(na zaśpiewie)

„Oszczędź łono, na którym cię kołysałam, oszczędź pierś, której mlekiem cię wykarmiłam".

I ERYNIA

Ha, ha, ha. Po przebudzeniu zawsze jesteśmy znużone i smutne. Musimy się napoić krwią twojej matki Klitajmnestry i jej kochanka Egista, aby móc cię kąsać i szarpać. Ale gdy jesteśmy znużone i smutne, nie oznacza to wcale, że ogarnęła nas litość. Przypomnę ci kołysankę twej matki: „Syneczka mam, jak Feba,
gwiazdeczkę z gwiazdy nieba".

ERYNIE

Ha, ha, ha!

II ERYNIA

Pocałuję cię w usta pocałunkiem Klitajmnestry, najpieszczotliwszym! Poczujesz jej krew, którą masz na rękach, na oczach i we włosach!

III ERYNIA

Nakarmię cię mlekiem z mojej piersi, w której jest słodycz mleka twojej matki. Zaśniesz cichym, dobrym snem niewinnego dziecięcia.

ORESTES

Precz! Precz! Precz!!!

(pragnie odejść)

I ERYNIA

Dokąd? — wyrosnę przed tobą kolumną i głowę zanurzę w chmurach. Nie przejdziesz, psie!

(Orestes idzie w drugą stronę)

II ERYNIA

Rozleję się rzeką, leniwą i ciężką, a jej dno będzie dnem Hadesu. Czy przejdziesz?

(Orestes idzie w inną stronę)

III ERYNIA

Nie tędy, bo stanę się górą skalistą, stromą, jak ściana z lustra! Co zrobisz?

ORESTES

Przybądź Apollinie, i ratuj! Najnędzniejszy z nędznych prosi cię o pomoc. Zabiłem matkę. Wyszedłem z domu opiekunów, aby poznawać

kraje i ludzi, aż doszedłem tutaj, gdzie czekała siostra na brata, który pomści śmierć ojca. Nie wiem, jak to się stało? Mam słabe ręce, zdatne do tego by zerwać owoc lub kwiat, albo przewracać kartki książek w akademii. Ale nie do tego, by chwytać za miecz i zabijać. Lubię, Apollinie, wszystko, co na ziemi i co na niebie, lubię słońce i księżyc, noc i dzień. Chciałeś bym lubił też słowa poetów, ułożone w strofy i bym smucił się jedynie smutkiem fletu o zmierzchu. A teraz szarpią mnie Erynie, wstrętne, nigdy nie czesane potwory z wieńcami żmij we włosach! Czy uratujesz mnie, Apollinie?

I ERYNIA

To jest twoja modlitwa?

ORESTES

To jest moja modlitwa.

ERYNIE

Modlitwa bluźniercy!

I ERYNIA

Jesteśmy znużone i smutne, Orestesie, jak zawsze po przebudzeniu. Zostawimy ci na dziś najsłodszą z trucizn: zwiątpienie. Będziemy mogły zasnąć dobrym snem, nim zjawimy się znowu. Dobranoc, Orestesie.

ERYNIE

Nie zapomnij naszego refrenu:

„Oszczędź łono, na którym cię kołysałam,
Oszczędź pierś, której mlekiem cię wykarmiłam".

Ha, ha, ha! — Ha, ha, ha!

(ERYNIE znikają)

Scena VI

ELEKTRA

Co teraz będzie, Orestesie? Co będzie, Pyladesie?

ORESTES

Myślę bardziej o tym, co było, niż o tym, co będzie.

PYLADES

O tym, co będzie, postanowią w zgromadzeniu ludowym. Czy mamy układać plany? Powodować nowe wypadki? Gdy szliśmy z Orestesem do Argos. Nie mieliśmy żadnych planów. Nie wiedzieliśmy nic, co będzie. Wspominaliśmy Arkadię.

ORESTES

Nieraz myślę, że to był tylko sen. Może naprawdę jest to sen, że zabiłem Klitajmnestrę i Egista? Pomóżcie mi, abym się zbudził.

ELEKTRA

To nie sen, Orestesie, to prawda.

ORESTES

Przypomnij mi Elektro, twoje słowa o zemście, twoje słowa o nienawiści. Jakaż to była furia, że zdołała mnie ogarnąć i zapalić do zbrodni!? Erynie muszą się poić krwią zamordowanych, aby były zdolne kąsać i szarpać. Niech poczuję, Elektro, na nowo zapach krwi i niech mnie obejmie twój obłęd nienawiści! Mów, Elektro.

ELEKTRA

Cóż chcesz, abym mówiła?

ORESTES

Mów o zbrodni Klitajmnestry i Egistosa. Mów o głosie naszego ojca, który domagał się zemsty.

ELEKTRA

Nie mogę, Orestesie. Ucichła, we mnie zemsta i zginęła nienawiść. W moim sercu jest zimna pustka. Nie ma tam nic.

ORESTES

Mów, cokolwiek pamiętasz. Muszę mieć upewnienie, że postąpiłem słusznie. Sprawiedliwie. Mów, Elektro!

ELEKTRA

Nie mogę. Nie pamiętam.

ORESTES

Mów!!!

PYLADES

Nie krzycz, Orestesie. Często bywa tak, że nie poznajemy własnych czynów. Pamiętasz tragedię o Medei, zabójczyni własnych dzieci? Zabiła je, a potem wyła z męki i rozpaczy. Albo Aglae, dzieciobójczyni. W tragediach to miejsce, gdy się nie poznaje własnego czynu jest zawsze piękne i wzniosłe.

ORESTES

Ale ja, Pyladesie nie nadaję się do tragedii. Na Dionizjach zawsze drżałem z lęku i przerażenia. Mdleję na widok krwi.

PYLADES

Nic to nie znaczy. Bogowie przeznaczyli cię do wielkiej roli, mimo, że masz serce tkliwe i czułe. Nikt nie obiera z własnej woli swojego losu.

ORESTES

Mój los był mi przyjazny i dobrze znany. Rzeczy proste miały dla mnie najwięcej uroku. Na przykład: wczesny poranek, gdy idzie się do kąpieli. Na przykład: zabawy w gimnazjonie, lub rozmowy z filozofami w akademii. Na przykład zmierzch i roześmiane oczy dziewcząt, które mówią: „miły jesteś, chłopaku". Chce mi się płakać, Pyladesie, bo zgubiłem prostą drogę mojego losu.

PYLADES

To był tylko sen, Orestesie, a tutaj przyszło przebudzenie. W Argos wyrosła rzeczywistość. Twój los. Twoja wielka rola, powierzona ci przez bogów w tragedii świata.

ELEKTRA

Jedno jest pewne, Orestesie, czego nie zapomniałam i co sobie często powtarzam. Syn przychodzi do domu ojca, którego zamordowała matka ze swym kochankiem. Jak ma ten syn postąpić? co zrobić — ucałować ręce matki, na których jest krew niewinnego? — przypaść do nóg samozwańczego króla zbrodniarza? — Co ma zrobić syn? Może odejść? Może powiedzieć: — „mój los jest prosty, zwykły i nie podejmę się roli wymierzenia sprawiedliwości! Za wielkie to na mnie". Pomyśl, Orestesie. Widzisz, że odnalazłam zgubiony wątek twojego czynu.

ORESTES

Dziękuję ci, Elektro.

PYLADES

Jest jeszcze inny powód, Orestesie, wyższy niż ten, o jakim mówi Elektra. Należysz do rodu Atrydów, napiętnowanego zbrodniami. Czy mogłeś uniknąć swojego losu? Nie ty postanawiałeś, jaki ma być twój los, Orestesie. Nie postanawia o tym nikt, nawet ten, komu powierzono rolę podrzędną, tylko taką, jaką pełni zwykły żeglarz na morzu, piekarz, lub ogrodnik. Czy nie zadziwia cię to, Orestesie?

ORESTES

Zadziwia, ale mam prawo do buntu. Nie chcę niczego, co obraca się przeciwko mnie samemu. Jeśli bogowie postanowili, abym zabił ich oboje, będę walczył z bogami. Jestem niewinny! Chcę żyć!

ELEKTRA

Ach, Orestesie! Ja także chcę żyć! Żyć, czyli kochać. Chciałabym kochać świat tak, jak ty go kochałeś! Jest tylko jedna rada: uciec! Uciec stąd czym prędzej! Natychmiast! Do Arkadii!

PYLADES

Nie można uciec od swego losu, Elektro. Słyszycie? Nadchodzi Menelaus i przynosi wyrok.

ORESTES

Uciec nie można, Elektro. Ale można walczyć. Walczyć z ludźmi i walczyć z bogami!

Scena VII

(Wchodzą — Menelaus, król Sparty, Tyndareos, ojciec Klitajmnestry, Helena i Hermiona)

(słychać muzykę i wrzawę tłumu przed pałacem)

MENELAUS

Niech ci się zdaje, Heleno, że to są okrzyki radości z powodu naszego przybycia. Niezależnie od uczuć tłumu, królowie powinni mieć zawsze ten sam wyraz twarzy, gdy się pojawiają publicznie: wyraz dobrotliwej obojętności.

HERMIONA

Ależ oni nam wygrażali! Barbarzyński kraj!

TYNDAREOS

Nieprawda! Ten lud jest zdrowy moralnie. Żąda ukarania królobójców! To nazywa „święte oburzenie", bo czyn tych obojga jest wstrętny! Nie można inaczej powiedzieć: wstrętny!

MENELAUS

Przyrzekłeś nam, że nie będziesz się unosił swoim świętym oburzeniem. Nie bój się, Orestesie, król Tyndareos, nieszczęsny ojciec Klitajmnestry, a twój dziadek, — będzie milczał. *(Do Tyndareosa).* Całe swoje potępienie Orestesa i Elektry wykrzyczałeś już wczoraj, a dzisiaj powtórzyłeś to na nowo w zgromadzeniu. Nigdy zapewne nie miałeś tak wdzięcznych słuchaczy. Lud płakał i wył z zachwytu. Więc proszę cię teraz, abyś oszczędził nam wylewu ojcowskich uczuć.

TYNDAREOS

Będę milczał — do czasu.

ELEKTRA

Czego żądają, Menelausie?

MENELAUS

Żądają waszej śmierci. Ale nie należy liczyć się zbytnio z wyrokami ludu. Widziałem nieraz, jak lud prowadzonych na śmierć uwalniał własnymi rękoma z bylejakiego powodu. Masz swoich zwolenników w zgromadzeniu ludowym, Orestesie.

ORESTES

Co mówisz? Naprawdę?

TYNDAREOS

Jacyś zbrodniarze na pewno.

MENELAUS

Prosiłem, abyś nam nie przeszkadzał. — To było bardzo interesujące, ale niestety, twoi zwolennicy nie są liczni i zostali zagłuszeni przez tych, co domagali się waszej śmierci.

ORESTES

W jaki sposób starali się mnie obronić?

MENELAUS

Jeśli mogłem dobrze ich zrozumieć, liczą oni na zmianę ustroju. Mają okazję, aby obalić dotychczasowe formy rządu. To zwykła kolej rzeczy, Orestesie, znana dobrze na całym świecie. Walka z tobą oznacza walkę o władzę i wpływy.

ELEKTRA

Cóż im pomoże nasza śmierć?

MENELAUS

Śmierć, Elektro, zawsze władzy pomaga. Można by nawet powiedzieć, że każdy król, gdy wstępuje na tron, jest prowadzony pod ramię przez śmierć. Dlatego urząd królewski nosi w sobie zawiązek tragedii.

HELENA

Nie możesz tego twierdzić o sobie, Menelausie.

MENELAUS

Och, Heleno! Jeśli nie jestem tragiczny, to tylko dlatego, że żyję ze śmiercią w wielkiej zażyłości. Znamy się dobrze, może za dobrze? Gdybym nie był leniwy, napisałbym dzieło o życiu pogodnym. Prawdziwą pogodą, Orestesie, jest przystać na wszelką nędzę — i na śmierć.

HERMIONA

Łatwo tak mówić, gdy się jest królem Sparty. Zapytaj o to nędzarzy, choćby tych, dla których mama robi trykoty na zimę.

MENELAUS

Bo oni nie przystają na swoją nędzę i marzą. Są marzycielami z powodu bujnej wyobraźni. Każdy nędzarz marzy o życiu królewskim. Podejrzewam, Orestesie, że i ty, idąc tutaj do Argos, marzyłeś, by objąć tron Egistosa.

ORESTES

Szedłem tutaj z radosnej Arkadii, by zwiedzić ten kraj, o którym wiele słyszałem. Nie wiedziałem nawet tego o sobie, kim jestem naprawdę? Nie myślałem o władzy, Menelausie.

MENELAUS

Więc dlaczego zabiłeś matkę i ojczyma?

TYNDAREOS

O, dlaczego? dlaczego, wyrodny!?

HELENA

To bardzo ciekawe, Orestesie. Dlaczego ich zabiłeś?

ORESTES

O tym wie Elektra.

PYLADES

Pozwólcie, że wyręczę Elektrę. Jest ona słaba, chwieje się na nogach, — i zbladła. Historia jest taka: piętnaście lat temu Klitajmnestra i Egistos zabili Agamemnona. Po piętnastu latach Orestes zabija Klitajmnestrę i Egistosa. Dlaczego? — pytacie. Oto pojawił się syn -mściciel swego ojca. Przybył, jako podróżny z dalekiego świata i tutaj dowiedział się, kim jest i jaką ma rolę do spełnienia. Ale kto mu tę rolę powierzył? Kto prowadził go tutaj, do kraju Atrydów? Rzućcie w niebo pytanie dlaczego? — i zostawcie ich oboje w spokoju.

ELEKTRA

Dziękuję ci, drogi Pyladesie. Jestem naprawdę słaba.

MENELAUS

Jeżeli mamy pytać niebo, dlaczego Orestes zabił, to nie spodziewajmy się odpowiedzi. Wielkością nieba jest to, że ono milczy. Widzisz Tyndareosie, że milczenie oznacza wielkość.

TYNDAREOS

Milczę. Ale chciałbym krzyczeć!

MENELAUS

Wiadomo, Pyladesie, że każdą trudniejszą kwestię powierzamy niebu. Nie wypada jednak obciążać bogów zbrodnią Orestesa i Elektry. Cokolwiekbyśmy myśleli o bogach, nie zapominajmy, że są to nasi krewni. Winniśmy im szacunek, conajmniej taki jak królom.

HERMIONA

A jeśli bogów nie ma?

(poruszenie wśród obecnych)

MENELAUS

Jesteś przedwcześnie dojrzała, Hermenio. Wątpienie to przywilej królów i filozofów. — Więc, Elektro, — dlaczego Orestes zabił tych dwoje? To pytanie było głównym tematem na zgromadzeniu ludowym.

HELENA

Nie dowiemy się, dlaczego ich zabił, Menelausie. Ale, jeśli pozwolicie, — podejmę się obrony Klitajmnestry.

ELEKTRA

Obrony?

HELENA

Klitajmnestra była dobrą matką i wierną żoną. Była też piękną kobietą, co nie jest bez znaczenia. Kto wie nawet, czy jej piękność nie stała się powodem tych rzeczy, których nie można zrozumieć?

MENELAUS

Mów, Heleno. Lubię rozmowy o piękności kobiet. Nie zapominajcie jednak, że nie ma piękniejszej kobiety na ziemi, jak Helena.

HELENA

Agamemnon prowadził przez całe życie wojny i nie wiele troszczył się o swą piękną żonę. Czy był jej wierny? O tym wiedzą ci, co walczyli z nim na wojnie trojańskiej. Nie chcę wyliczać kobiet, jakie woził ze sobą. Nie wracał latami do swej pięknej żony. A jeśli się zjawiał to na krótko, był niecierpliwy, znudzony, bo nie znajdował w domu tego, co miał w obozach i w swoich wojennych wyprawach. Był dziki, szorstki, pożerany krótkotrwałymi namiętnościami do swoich licznych kobiet.

ORESTES

Och, Heleno, Heleno!

MENELAUS

To prawda, Orestesie. Znałem dobrze słabości twojego ojca.

HELENA

Aż pojawił się Egistos. Młody, delikatny, pełen tkliwego zachwytu dla urody Klitajmnestry. Docenił w niej kobietę. Piękną kobietę. Oto początek rzewnej i smutnej historii nieszczęśliwej królowej.

ELEKTRA

Nieszczęśliwej?

HELENA

Nieszczęśliwej. Brutalny i okrutny Agamemnon obraził jej uczucia matki, nie tylko jej uczucia wiernej żony. Pamiętacie historię Ifigenii? Zażądał, aby Klitajmnestra przybyła do obozu z córką Ifigenią, którą miano złożyć bogom w ofierze, dla przywrócenia przychylnych wiatrów na morzu. Dobra Artemida ocaliła nieszczęsną Ifigenię, ale nie oddała jej matce. Dotąd jeszcze pełni ona służbę kapłanki w świątyni Artemidy — gdzieś na krańcach świata. Czy można wyobrazić sobie ból Klitajmnestry? Wracała do Argos sama, opuszczona, bez ukochanej córki Ifigenii. Pierwszą zbrodnię popełnił Agamemnon.

ORESTES

Słuchaj dobrze, Elektro. Oto jest prawda, zatajona przez ciebie.

MENELAUS

Niech mówi Helena. To jeszcze nie koniec.

HELENA

To jeszcze nie koniec. Klitajmnestra nie mogła przeboleć straty Ifigenii. Przeklinała męża i powzięła zemstę. Prawdziwe pocieszenie dawał jej Egistos, szlachetny i zakochany królewicz, który się zjawił w Argos. Po raz pierwszy poznała Klitajmnestra urok męskiego uwielbienia. Egistos potrafił ukoić jej ból i potrafił obudzić w niej miłość. Agamemnon długo nie wracał i do Argos docierały częste pogłoski, że nie żyje. Gdy się wreszcie zjawił...

ELEKTRA

Zabiła go z pomocą swego kochanka!

TYNDAREOS

Chciałbym krzyczeć, Menelausie. Nie znoszę Elektry.

MENELAUS

Nie słuchaj jej. Słuchaj, co mówi Helena.

HELENA

Gdy Agamemnon się zjawił, oznaczało to koniec miłości Klitajmnestry i Egistosa. Wracał mąż znienawidzony i miał odejść czuły kochanek. Jaka kobieta zgodzi się na zniszczenie swego szczęścia?

ELEKTRA

Zabiła męża.

HELENA

Nie wiadomo, jak to się stało? Czy zabiła ona, czy zabił Egistos? I czy chcieli go zabić? — Czy tych pytań nie należy także skierować do nieba? Powiedz, Pyladesie...

PYLADES

Nie wiem nic. Doprawdy nie wiem. Ta historia, opowiedziana przez ciebie, bardzo mnie przejęła.

HELENA

Ale to nie koniec.

ORESTES

Słuchaj dobrze, Elektro.

HELENA

Cios wymierzony w Agamemnona był ciosem wymierzonym w miłość Klitajmnestry i Egistosa. Zostali sami. Nie było już przerażenia, że może zjawić się Agamemnon. Ale pozostał jego cień i straszył. Pozostała też Elektra. Ich miłość natężona była rozpaczą, aby zapomnieć o tym, co się stało. Nie mogli zapomnieć. Dni mieli czarne od lęku, a noce białe od bezsenności. Serca ich nigdy nie zaznały spokoju, bo pozostał cień Agamemnona i pozostała Elektra, ucieleśniona nienawiść i groźba zemsty. Pomyślcie, że tak trwało piętnaście lat. A teraz proszę cię, mów ty, Elektro.

TYNDAREOS

Niech nie mówi! Spłakałem się, Heleno, w milczeniu. Milczałem, Menelausie, płacząc.

MENELAUS

No, mów Elektro.

ELEKTRA

W twoich słowach, Heleno, był szelest szkła. Od ciebie idzie zimno lodu. Jesteś moją Erynią, bo chcesz ze mnie wypić zimnymi ustami ostatnią krew. Nie wierzcie obronie Heleny. Klitajmnestra była podła i zła, bo zabiła niewinnego. Dusza mego ojca mieszkała we mnie aż do chwili, gdy oboje zginęli pod ciosem Orestesa. Co mówiła mi dusza Agamemnona? — Mówiła: „Orestes żyje, Orestes przyjdzie, nie zapomnij o zemście, nie mogę zejść do Hadesu, dopóki żyją mordercy". Słyszałam te słowa w każdej godzinie, od przebudzenia do nocy. A moje sny? Były

ciężkie i lepkie od krwi Agamemnona. Wszędzie widziałam krew i wszędzie słyszałam głos zemsty. Miałam świat zasłonięty czarną chustą żałobną. Inni wiedzieli, co to jest życie, inni znali Arkadię, i mogli się śmiać i widzieć słońce, widzieć kwiaty, gonić motyle i obejmować się w miłosnym uścisku. W obcym kraju mój brat Orestes upajał się wierszami Pyladesa i przysłuchiwał się sporom filozofów w Akademii — a o zmierzchu tulił dziewczęta, albo grał im na flecie. Siostra jego, Elektra, nie była już człowiekiem. Nie była nigdy człowiekiem. Jej żyły napełnili bogowie jadem nienawiści, a w serce wrzucili gniazdo żmij. Wykrętna jest twoja obrona Klitajmnestry, Heleno, i nie zdołałaś z niej uczynić posągu nieszczęśliwej królowej. Nie wiem, czy dobrze się stało, że zabił ich Orestes, — wiem tylko, że tak się stać musiało. Tak się stać musiało z rozkazu bogów. Teraz jestem wolna, biała i czysta, — i teraz budzi się we mnie zwykła dziewczyna Elektra, która chce żyć. Pomóż mi, Pyladesie, — nic już nie wiem i nie pamiętam. Zimno mi. Ogrzej mnie swoim ciepłem, Pyladesie...

TYNDAREOS

Chciałbym krzyczeć, Menelausie. To syczała żmija!

MENELAUS

(kładzie palec na ustach)

Milczenie.

PYLADES

Nie opuszczę cię, Elektro. Połóż rękę na moim sercu. Żałobna, czarna chusta spadła już z twoich oczu.

HELENA

Zawsze mamy jakąś chustę przed oczyma, Pyladesie. Chustę, lub kłęby mgły. Nie jesteśmy pewni żadnego kroku.

HERMIONA

Ja jestem pewna moich kroków. Nie boję się niczego.

MENELAUS

Nie przeszkadzaj, Hermiono. Twoja matka królowa raczy mówić przenośniami. Słuchajmy teraz, Orestesa. Mowa Elektry była mową o nienawiści.

ORESTES

Powiedz raczej o daremnej nienawiści. O daremnej, Elektro. Wierzę w obronę mojej matki, którą wygłosiła Helena. Ależ tak! Już po zabójstwie myślałem nie raz, w ciągu dni i w ciągu nocy, że matka była nieszczęśliwa. I niewinna!

ELEKTRA

Orestesie!

ORESTES

Tak, niewinna! Nikt nie widział jej oczu w tej ostatniej chwili, gdy wbijałem swój miecz w jej serce. Tylko ja widziałem i nigdy tego nie zapomnę. Nie zapomnę, Elektro! Nie zapomnę też słów, jakie mi ciągle powtarzają Erynie: „oszczędź łono, na którym cię kołysałam, oszczędź pierś, której mlekiem cię wykarmiłam". Nie wiem, dlaczego nie zadrżała mi ręka i dlaczego nie poruszyło się we mnie serce? Dlaczego, Heleno? Wystarczyła odrobina energii, aby się poddać nienawiści Elektry, i oto spada na oczy czarna chusta żałobna. Chusta, która odjęta została z oczu Elektry, zawisła przed moimi oczami. Nie widzę teraz nic. W moim sercu czai się lęk i przerażenie. Uwierzcie mi, że jestem niewinny, bo nie wiem, jak to się stało? — To wielka tajemnica. Czy tak chcieli bogowie? Czy taką dali mi rolę w wielkiej tragedii świata? Nic nie wiem. Przyszedłem do Argos z Arkadii, nieświadomy zła, jakie się stanie. Przyszedłem czysty i biały, nie dotknięty przez żaden brud życia. Zawsze przebaczałem urazy i krzywdy. Czy nie należało powiedzieć matce: biedna, nieszczęsna, niewierna? Czy nie należało zapłakać nad nią i jej biedną głowę przycisnąć do serca? Byłoby to zbyt trudne, zbyt wielkie. Nie pamiętasz już swojej nienawiści, Elektro, — nie pamiętam i ja tej chwili, gdy zabijałem Egista i Klitajmnestrę. Daremna była twoja nienawiść, i daremna była moja zbrodnia. Nie tego zapewne chciała dusza Agamemnona, aby w spokoju odejść do Hadesu. O, Apollinie! Apollinie!!

(naraz zmienia się światło)

(słychać muzykę i pieśń)

PYLADES

Widzicie światła? Słyszycie? Co za dziwna muzyka?! Co za żałosna pieśń!? Jak cicho...

MENELAUS

Powiedz, Heleno, co to znaczy?

HERMIONA

Boję się. Za chwilę pewno poruszą się kolumny?

HELENA

(odkłada swój koszyk z robótkami)

To przybywa Apollo w orszaku dziewięciu muz. — Powstańmy.

(ci, co siedzieli — wstają)

(nasłuchiwanie muzyki i pieśni)

ELEKTRA

Kładzie mi rękę na sercu i dotyka mojego czoła.

PYLADES

Co za wielka chwila! Apollo składa pocałunek na bladym czole Elektry...

ORESTES

Obejmuje mi głowę i tęczę kładzie na oczach.

PYLADES

Apollo skrzydłami ogarnął serce Orestesa. Muzy śpiewają pieśń żalu. Słuchajcie uważnie. Apollo płacze. Apollo płacze.

(wszyscy słuchają muzyki i pieśni)

HELENA

Widzę go. Uskrzydlone ramiona podniósł wysoko. Wskazuje Elektrze drogę na zachód. Wskazuje Orestesowi drogę na północ. Muzy zwiesiły nisko swoje skrzydła ze srebra i złota. Znikają. Znika Apollo.

(chwila ciszy i zasłuchania)

(zmienia się światło)

TYNDAREOS

Zrobiło się naraz ciemno. Czy tu kto był? Nie dosłyszałem, o czym mówiliście?

HERMIONA

Był tutaj bóg Apollo. Ale ja nie wierzę w bogów i nie boję się ich. Jeśli się czego boję, to myszy i pająków.

MENELAUS

Głupia jesteś. Gdy zmądrzejesz, uwierzysz w bogów. Lepiej wierzyć, niż nie wierzyć, bo nigdy nic nie wiadomo. I z nimi też nic nie wiadomo. Jesteśmy w tym samym miejscu wielkiego zapytania — dlaczego Orestes zabił? I pewno nie dowiemy się.

TYNDAREOS

Ja powiem. Chcę mówić, Menelausie. Chcę krzyczeć!

MENELAUS

Krzycz. Proszę, krzycz. Dlaczego nie krzyczysz?

TYNDAREOS

Zapomniałem. Zrobiła mi się dziura w głowie.

(Helena powstaje, zwija swoje robótki)

MENELAUS

Królowa chce odejść? Jesteśmy jeszcze daleko od końca.

HELENA

Daleko. Lubię to słowo: „daleko". Nie dowiemy się niczego od Elektry, niczego od Orestesa. Bóg, który tu przyszedł — milczał. Płakał i milczał. Ale on rozstrzygnął wszystko. Chodźmy, Hermiono, chodźmy Menelausie. — Trzeba złożyć ofiarę na grobie nieszczęsnej pary kochanków.

MENELAUS

Chodźmy. Jeszcze chwila, a straciłbym ciężko wypracowaną pogodę ducha. Wracajmy do Sparty, Heleno.

HELENA

(do Orestesa)

Widzę górę na polu lodowym... Widzę głaz, który przywalił wątły krzew róży. Ale najpiękniejsza, Orestesie, jest zgoda na los. Żegnajcie.

HERMIONA

Powiem w Sparcie, że widziałam tańczące kolumny w pałacu Atrydów. Czy uwierzą?

HELENA

Zabierz, Hermiono, koszyk z włóczką.

(obie odeszły)

TYNDAREOS

Już mam! Mogę teraz krzyczeć, Menelausie!

MENELAUS

Za późno. Jedziemy do Sparty. Będziemy mieli piękną drogę powrotną. Żegnajcie!

(odeszli)

Scena VIII

ELEKTRA

Jesteśmy sami, Orestesie. Odeszli ludzie, nasi krewni, którzy przybyli, aby nas bronić i aby nas pocieszyć. Nie ma pocieszenia. Odszedł bóg, piękny i dobry Apollo. Milczał i płakał. Ale bóg wszystko rozstrzygnął. Rozpostarł skrzydła i zakrył nimi swe oczy. Złożył na moim czole pocałunek żalu. Potem wskazał drogę daleką. Pójdę, Orestesie. Żegnaj, wytęskniony bracie. Żegnaj, Pyladesie. Bieleje przede mną droga, która jest drogą daremnej nienawiści. Jest to pusta, spalona smuga ziemi. Obok drogi płynie wielka rzeka żalu. Rzeka moich łez. Nie widzę końca mojej

drogi i nie widzę końca mojej rzeki. Ale muszę iść! Muszę iść! Żegnaj, Pyladesie.

PYLADES

Elektro! Biała Elektro!

(Elektra znika)

Scena IX

ORESTES

Nie płacz, Pyladesie, nad losem Elektry. I żegnaj. Czas mi w drogę, którą wskazał Apollo. Moja droga, to droga daremnej zemsty. Czytam w sercu słowa wypisane przez Apollina: „Trzeba odrobiny energii, aby stało się zło, — i trzeba wielkiego wysiłku, aby stało się dobro". Obok mojej drogi płynie przez świat rzeka niewinnie przelanej krwi. Rzeka zbrodni. Omija ona cudny kraj Arkadii, z którego przybyłem do Argos. Czy słyszysz, Pyladesie? Przybiegają Erynie. Już są!

(zjawiają się Erynie)

ERYNIE

Twoja rzeka, to rzeka niewinnej krwi. Ha, ha, ha!

ORESTES

Apollo, przybywaj! Pomóż!

(do Erynii)

Precz! Precz!

(Erynie padają na twarz)

ORESTES

Dziękuje ci, dobry Apollo. Pragnę bowiem pożegnać przyjaciela, Pyladesa. *(po chwili)* Pochyl się, Pyladesie, nad zakurzonym sandałem człowieka, który wraca z pola po pięknym dniu swojej pracy. Pokochaj tęczę i gwiazdy. A także radość poranków i muzykę fletu o zmierzchu. To wszystko. Dziękuję ci za tę chwilę, dobry Apollo!

(Erynie zrywają się z miejsc)

ERYNIE

„Oszczędź łono, na którym cię kołysałam,
oszczędź pierś, której mlekiem cię wykarmiłam".

ORESTES

Precz! Precz! Precz!

(wybiega, za nim wybiegają Erynie ze śpiewem i śmiechem)

Scena X

PYLADES

Ach, to jeszcze nie koniec. Helena w natchnieniu i wizji przepowiadała wielkie rzeczy, jakie tutaj nastąpią. Tu, w tej sali królewskiej. Apollo rozstrzygnął inaczej. Wielkie rzeczy staną się tam, na pustej drodze daremnej nienawiści, którą przebywa Elektra i na drodze daremnej zemsty, którą przebywa Orestes. Rzeka żalu przepływa obok rzeki, którą płynie niewinnie przelana krew. Ale obie te rzeki omijają słoneczny kraj Arkadii, z którego przybył Orestes do smutnego Argos.

Darujcie wielką ilość słów, jakie dotarły do waszych uszu. Tajemnicza i piękna Helena mówiła słowami ze szkła i z lodu. Tak orzekła biedna Elektra. Ale Helena jest wieszczką, a wiadomo, że wieszczowie przemawiają w natchnieniu, tajemniczo i nieraz używają trudnych przenośni. Zbyt zdrowy i rozsądny jest jej mąż, Menelaus, pozbawiony wyobraźni. Czy nie wyskakiwał z tonu elegii? Tak samo należy żywić obawy o właściwy ton Tyndareosa, który chciał wykrzyczeć swój ból ojcowski. Pewni ludzie, jak Menelaus, nie znoszą widoku czyjegoś bólu. Cudzy ból jest zawsze kłopotliwy. Mała Hermiona, o której mówiono, że jest głupia i przedwcześnie dojrzała, odzywała się w sposób obniżający patos elegii. Niech nas jednak nie uraża ton nieco mieszczański tych królewskich osobistości. Tylko królowie pozwalają sobie na nietakty i na niegodne ich wysokiego znaczenia wybryki, jak naprzykład Helena, która umiała pogodzić robienie trykotów dla ubogich z wygłaszaniem swych natchnionych wizji.

Cóż powiedzieć o nieszczęsnej Elektrze i bardziej jeszcze nieszczęsnym Orestesie? Zachowajmy się jak Apollo, który milczał — i płakał. Spośród wielu słów, jakie do was doszły, jedne spłynęły tutaj z podszeptu bogów. Są to pożegnalne słowa Orestesa: „trzeba odrobiny energii, aby stało się zło, — i trzeba wielkiego wysiłku, aby stało się dobro". Cóż wobec tych słów znaczą słowa o tęczy, motylach, o zimnych oczach Heleny, o porankach i muzyce fletu, o miłości i smutku? Ach, nie, jeszcze nie koniec. Jeszcze jedno posłanie od Apollina, który przebywa w Arkadii: pochylić się sercem nad rzeką nienawiści, aby rozlała się w wody białe i czyste! Wyrosną lilie na jej brzegach, posadzone ręką bogini Eirene, cudnej bogini pokoju.

Słyszycie? Czy to muzyka? Czy wicher? Ach, nie. To żal Elektry. To lament Orestesa. Pełnią oni wieczyście swoją rolę w wielkiej tragedii świata.

Teraz już koniec. Ze smutnego Argos wrócicie do waszej słonecznej Arkadii, którą musi omijać nasza siostra Elektra i nasz brat Orestes.

Żegnajcie. Koniec elegii.

Jerzy Zawieyski

TREŚĆ ZESZYTU

Cena zł 10.—

IN HOC
SIGNO
VINCES